



K. DANRIT

Gzłowiek-Ptak

IV



CZŁOWIEK-PTAK.

IV

№

KAPITAN DANRIT.

CZŁOWIEK-PTAK.

Przekład z francuzkiego

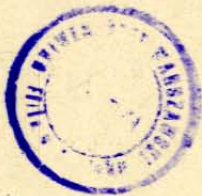
Edmunda Jezierskiego.

TOM II.

(Z ilustracjami).

WARSZAWA.—1912.

NAKŁAD AKC. TOW. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT.”
WYDAWNICTWO „PRZYJACIELA DZIECI.”



68596/2

K-249/76/74947

IV

Nº 110

IX.

Poranny odlot.

Odprowadziwszy miss Katty, Maurycy Rembeau spiesznie, silnie, nerwowo zastukał do drzwi kapitana Bredwaya, gdyż wystrzałów rewolwerowych nikt w fortecy nie słyszał.

Zaniepokojony wielce krótkim opowiadaniem młodego inżyniera, kapitan zeszedł na odwach. Tu były skoncentrowane wszystkie guziki dzwonek elektrycznych, łączących się z oddziałami, kazamatami oficerów i trzema wieżami, i dające możność wezwania do broni całego garnizonu cdrazu.

Tu dowiedział się, że wartownicy, stojący przy aeroplanie, odesłani zostali przez Kerdoca o północy, przyczem zapewniał ich kategorycznie, że inżynier nie potrzebuje ich już więcej.

Przekonawszy się o tem, kapitan sam nacisnął guziki dzwonek, i rozesłał na wszyst-

kie strony posłańców, ażeby całą załogę postawili na nogi.

Sygnalizacja szpiega z platformy, bez wątpienia miała za cel wyłączny wywołanie przy pomocy umówionych znaków ataku japończyków. Krzyżowce japońskie stały w oczekiwaniu, kiedy forteca Medwey, osłabiona sypiącemi się na nią pociskami, zdecyduje się poddać.

Należało oczekiwać wylądowania, niespodziewanego ataku...

Plan Kerdoca był bardzo wyraźny: wprowadzić japończyków do groty i oddać do ich rozporządzenia drabinę i schody, zamknięcia których przemienił.

Przeprowadziwszy ich labiryntem kazał matów i dając im możność zaatakowania z tyłu posterunku wartowniczego przy moście zwodzonym, w ten sposób pozwoliłby innym oddziałom atakującym przedostać się do fortecy przez główne wrota. I wszelki opór byłby niemożliwym.

Jeżeli nawet przypuścić, że przybyły w porę oddział odrzucił by ich od schodów, to bądź co bądź nieprzyjaciel posiadałby grootę. W podobnym wypadku, tak bliskie sąsiedztwo japończyków z fortecą, przy ich doświadczeniu z użyciem materiałów wybuchowych, byłoby bardzo niebezpieczne.

Nareszcie, opanowawszy grootę, zniszczyliby, albo, prędzej, skorzystaliby z aeroplanu dla swoich celi, gdyż zbyt są wynalazczy, zbyt przedsiębiorczy, ażeby nie wyciągnąć z niego pożytku.

I ostatnia nadzieja twierdzy byłaby rozbitą, owoc pracy sześciu dni był by zniszczony.

Kapitan Brodway, wydając ostatnie rozkazy przygotowania się do boju, cały czas myślał o tem. Nie przestawał wyrażać swej głębokiej wdzięczności młodemu francuzowi, wmięszanie się którego w porę ocaliło fortecę Medwey przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

Kiedy wszystko przygotowane zostało, przypomniał sobie o latarniach, które nie okazały się w rękach Kerdoca. Umieścił on je prawdopodobnie z wewnątrz, ażeby wskazać nieprzyjacielowi miejsce, dogodne do przypuszczenia ataku.

Maurycy zeszedł do groty i wszedł na platformę węglową. Księżyc zniknął po za linją widnokregu, rzucając swój ostatni pęk światła na powierzchnię wody, widocznie za złomem skalnym budziły się pierwsze promienie świtu. Był to moment, kiedy przez chwilę jeszcze trwał mrok, łączący morze

i niebo w jednostajny cień, usypany błyszczącymi i odbijającymi się gwiazdami.

W różnych końcach platformy inżynier zauważył obie latarnie, obrócone w stronę morza. Zanim je zgasił, zamyślił się. Cała forteca była na nogach, nie mogło zajść nic niespodziewanego. Jeżeli japończycy wylądują, będą przywitani tak, że na długo stracą ochotę ukazania się tu. Najlepiej, jeżeli dadzą im nauczkę tej jeszcze nocy.

I Maurycy Rembeau pozostawił latarnie na ich miejscach.

Powróciwszy do kapitana Brodway, zakomunikował mu o tem i znów namyślił się. Jeżeli mitraljezy poryją pociskami platformę jego, to na niej potworzą się we wszystkich kierunkach brózd i zadrapania, które będą przeszkadzać aeroplanowi w posuwaniu się jego na płozach.

Lecz lejtnant Peary, dowodzący oddziałem artyleryjskim, przeznaczonym do obsługi mitraljez, zapewnił go, że strzelać z dział będzie tak, żeby najmniejszej szkody nie wyrządzić platformie.

Dwudziestu ludzi umieszczono w grocie dlatego, ażeby spotkali wprost z bronią w ręku tych z pośród atakujących, których uda się uratować przed ogniem krzyżowym ze strzelnic podczas ukazania się ich na platformie

i dla ochronienia ptaka mechanicznego przed możebnymi wypadkami.

Dla większego bezpieczeństwa Maurycy Rembeau kazał odprowadzić wózek z aeroplanem w głąb groty.

Potem, trochę zmęczony oczekiwaniem, wszedł na platformę...

Wśród otaczającej ciszy naraz wydało mu się, że słyszy jakiś szelest. Nie mógł zdać sobie sprawy, jaki to szmer rozległ się tak niespodziewanie — zupełnie jakby plusk wioseł lub drobnych fal, bijących o szczeliny skały.

Bezwątpienia do lądu przybijały łodzie i wysiadali z nich ludzie.

Posłyszał skrzyp żwiru w rowie fortecznym, zakończającym się kanałem, otoczonym ścianami z węgla.

Kiedy oczy jego przyzwyczyły się do mroku, rozróżnił wiele cieni, ślizgających się po pierwszych skałach; kiedy podeszły bliżej, ujrzał odbijające się nad ich głowami niejasne zarysy drabin.

Kroki ich były zupełnie niedosłyszalne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, japończycy byli boso. Nie było również slychać brzęku broni, pozostawili pewnie na brzegu pochwy swych stalowych bagnetów.

Cofając się w tył, Maurycy Rembeau

dotarł do grotty, zawiadomił dowodzącego tam naczelnika oddziału o wszystkim, co widział. Odszukał potem kapitana Brodway'a, który ulokował się w stalowej wieżycze obserwacyjnej, występującej na ścianie, nad mostem zwodzonym.

Tu znajdowały się trzy reflektory południowego bastjonu. Każdy z nich, obracając się, zakreślał promień 120°.

W ten sposób można było, na życzenie, oświetlić cały bastjon południowy lub też, umieściwszy jeden z nich nad drugim,—skoncentrować przynajmniej dwa pęki promieni świetlnych na idący morzem okręt.

— Wylądowują, — oznajmił wzburzony młody człowiek.—Dopiero co ich widziałem...

— Wiem, — spokojnie odrzekł kapitan Brodway,—wartownicy, rozstawieni na zakrytej drodze i posiadający z sobą dzwonki przenośne, już widzieli ich. Dzięki elektryczności momentalnie zawiadamiają mnie o wszystkim, co dzieje się na wszystkich bastjonach fortecy. Przypuszczalnie przed kwadransem przybiła do brzegu pierwsza łódka.

— I pan pozwala im tak spokojnie wylądowywać? — spytał bardzo zdziwiony inżynier.

— Tak, tak lepiej. Wziąłem na siebie obowiązek zalania ich światłem w odpowie-

dniej chwili. Ani jeden wystrzał nie zostanie puszczonej wcześniej, nim ja zapalę reflektory. Koniecznym jest pozostawienie żółto-twarzych w spokoju do ostatniej chwili i obdarczenie ich całym efektem niespodzianki, jaką oni nam wyrządzić chcieli. To będzie zabawne...

Spokój olbrzyna przywrócił inżynierowi równowagę.

— I pan nie prędko oświetli ich?

— Nie! Mam jeszcze dziesięć do piętnastu minut. Kiedy japończycy chcą napaść niespodziewanie, zbierają się razem tam, skąd powinni się rzucić. I dlatego, ażeby wyrzucić większe wrażenie na przeciwniku, rzucając się naprzód, krzyczą wszyscy razem: banzaj! Miejscem połączenia się ich prawdopodobnie, naznaczoną jest platforma, z którą Kerdoc sygnalizował i gdzie znajdują się latarnie. Trzeba dać im czas do dostania się tam.

— Mają z sobą drabiny...

— Ma się rozumieć, i kiedy oni...

Ostry dzwonek przerwał amerykańnikowi. Przyłożył ucho do trąbki, widniejącej na ścianie metalowej i słuchając, rzekł:

— Osiem łodzi... znaczy się, będzie ich ogółem około dwustu pięćdziesięciu...

—

— Jest pan pewien, że nie wylądowali w innym miejscu?

—

— Dobrze! proszę w dalszym ciągu obserwować...

— Ta wiadomość, — rzekł kapitan, — dostarczoną mi jest z utortyfikowanego obserwatorium, wyciętego na wierzchołku skały, wstępującej w morze. Kerdoc nie mógł, ma się rozumieć, uprzedzić swych kolegów o istnieniu tych posterunków zewnętrznych, zupełnie niewidocznych od strony morza. A łódki nieprzyjacielskie musiały przepłynąć obok nich, nie podejrzewając, że ich liczą w odległości kilku metrów.

— Chciałbym znajdować się obok pana w tej ważnej chwili! — rzekł francuz.

— A więc stań pan przy tej pionowej ścianie i patrz. Widowisko w zupełności zasługuje na to...

Upłynęło jeszcze parę minut. Wreszcie dał się słyszeć dzwonek telefonu i kapitan Brodway rzekł tak spokojnie, jakby dowodził na manewrach:

— Niech się stanie światłość.

I przekręcił znajdującą się przed nim rączkę komutatora.

I oślepiająca fala światła okryła naraz platformę węglową. Była cała pokryta rojem

japończyków — nieruchomych, tulących się jeden do drugiego.

Światło wywarło na nich takie wrażenie, jak strumień wrzątku, puszczonego w mrowisko.

Wszystko zaruszało się, zakręciło, że zaś wszyscy cofnęli się w tył, to znajdujący się na brzegu upadali na skały, pociągając za sobą innych.

Lecz w tejże chwili z przecinających małych strzelnic wyrwały się całe snopy płomieni z przeciągłym trzaskiem, tak dobrze porównywanym z odgłosem rozrywanego płótna.

Cały huragan kul z pięciu przeróżnych punktów Medwey'u werznął się w tą kłębiącą się kupę. Potem jeden z reflektorów został przeniesiony i ujawnił u podnóża platformy drugi tłum, kryjący się wśród skał. Inne mi-traljezy, skierowane tam, puszczone zostały w ruch.

Jednocześnie wykryto przy jasnym świetle drabiny, służące do wejścia na wały, razem z linią żołnierzy, którzy niespodziewanie zatrzymali się w czasie wchodzenia i upadali jeden na drugiego, wili się w mękach strasznych, krwią zbroczeni...

Nie upłynęły i dwie minuty, gdy na platformie pozostała tylko kupa rozciągniętych

ciał, wijących się pod osypującym ich gradem kul.

Wszędzie widać było uciekające cienie, rzucające się do łodzi, których nie można było dojrzeć, gdyż ukryte były poza pierścieniem raf.

Naraz reflektory zgasły i natychmiast przerwana została strzelanina.

Bitwa—a raczej rzeź—została skończona. Trwała jeden moment, i w tej rozprawie było coś strasznego. Wkrótce bezlitośna strzelanina rozpocznie się na nowo, jeszcze na kilka minut, kiedy łodzie, odwożące pozostałych przy życiu, wyjdą ze swego schronienia dlatego, ażeby połączyć się ze swoimi okrętami.

Prześladowane snopami promieni, tracą trzy czwarte swoich pasażerów...

Armaty Maxime'a, dające 600 strzałów na minutę, znakomicie spełniły swój obowiązek.

Strzelcy piesi prawie że nie przyjęli udziału w walce. Ci, którzy umieszczeni byli w grocie, nie zrobili ani jednego wystrzału.

Poprostu zabili bagnetami kilku japończyków, którzy, ratując się przed strasznym ogniem ze strzelnic, zeskoczyli z wysokości platformy.

Japończycy nie mieli ani czasu, ani chęci stawiać opór.

— Niewolników niema! — rzekł kapitan Broadway.

I rzeczywiście nie było ich.

Ciekawa okoliczność, którą zaobserwano jeszcze pod Portem-Artura, z tego stosu rannych nie dobiegał ani jeden okrzyk rozpaczny, ani jeden jęk. Tylko chrapanie rozlegało się wśród mroku, jeszcze bardziej przejmującego po zgaszeniu światła elektrycznego.

Raniony japończyk milczący jest, jak umierający koń.

* * *

Maurycy Rembeau zdecydował się natychmiast wznieść się w przestworza aeroplanem. Na jego żądanie przysłano ludzi, którzy oczyścili platformę z okrywających ją ciał zabitych.

Kiedy platforma oczyszczoną została, młody awiator myślał tylko o tem, ażeby odlecieć przed wschodem słońca, najbardziej zaś przed rozpoczęciem bombardowania. Polecił swemu przyjacielowi, Archibaldowi, być obecnym przy ostatnich przygotowaniach do wzlotu aeroplanu na platformie, oraz przy smarowaniu desek tłuszczem, ażeby płozy lepiej ślizgały się.

Koniecznym było jeszcze ściśle określenie kąta kierunku, przy pomocy kompasu

i najgłówniejsze, zastąpić nadpilowane przez Kerdoca części.

Udał się potem, ażeby pożegnać się z majorem Gezey i miss Katty, a gdy wrócił, aeroplan był już umieszczony na platformie i wydawał się z dołu ptakiem drapieżnym, z rozpostartymi skrzydłami, który wyrwał się ze swego gniazda, i gotów jest rzucić się w przestrzeń. Sześciu ludzi powstrzymywało go z obawy, ażeby aeroplan nie ześlizgnął się z pochyłości ku morzu, zanim puszczony będą w ruch śruby jego.

Maurycy Rembeau zjawił się tam z kapitanem Brodway'em, który pragnął być obecnym przy odlocie, ażeby złożyć raport majorowi.

Szybko spojrzął w kierunku morza.

— Spieście się, — rzekł lejtnant Forster, — okręty japońskie zawiadomione już są o niepowodzeniu swej wycieczki. Za chwilę należy nam oczekiwać tu pocisku.

I rzeczywiście, na widnokręgu, na nie-ruchomej, jak jezioro, powierzchni morza, prześlizgały się dwie faliste smugi dymu.

Świtało.

Za kilka minut jasne kontury skrzydeł aeroplanu widoczne będą przez lunety japońskie.

Nie można było tracić ani chwili.

Pośród garnizonu w Medwey rozeszła się już wieść o odjeździe śmiałych awiatorów, i wiadomość ta wywarła również silne wzburzenie, jak i wezwanie do walki.

Ze wszystkich strzelnic, ze wszystkich otworów spojrzenia skierowane były na platformę.

Tam, na wierzchołku, około wieżyc, wysunęli się ze swoich stalowych schronień artylerzyści i wytrzeszczonemi oczyma patrzeli na wielkiego ptaka, stworzonego przez inżyniera francuskiego w przeciągu sześciu dni.

Czyż on rzeczywiście poleciał?

Jakże on wzniesie się, nie dotknąwszy się wody, spuszczać się po pochyłej płaszczyźnie w kierunku morza?

Czy nie rozbije się o skały, ostro zakończone szczyty których sterczały w odległości sześciu metrów od miejsca wzlotu?

I czy zdąży w porę wyratować śmiałych lotników jedyny marynarz „floty“ Medwey'u, Gildt, który przygotował w tym celu swą łódź motorową i oczekiwał z nią w małej zatoce.

Podobne pytania zadawali sobie wielce zainteresowani wszyscy mieszkańcy Medwey'u. Nie mieli żadnej nadziei co do przybycia rychłej pomocy bez udziału tego śmiałego i prawie że fantastycznego aparatu.

— W drogę, Archibaldzie!—krótko oznajmił inżynier.

Lejtnant Forster przekreślił rączkę i motor zaczął silnie trzeszczeć.

Maurycy Rembeau zajął miejsce przy kole i oczy jego skierowały się zaraz na mały obrazek. Poleciał zdjąć drewniane podpórki, przytrzymujące płozy i włączył śruby. Gdy tylko poszły one w ruch, silna fala powietrzna przebiegła przez platformę.

Olbrzymi ptak zaczął drgać.

Między połączeniami dwóch skrzydeł, lejtnant Forster rozwinął sztandar amerykański.

Aeroplan trzymał się na jednym sznurze, przesuniętym przez pierścień, umocowany w skale. Człowiek, uzbrojony w topór, przerażać miał tą linę w miejscu, gdzie leżała ona na ciężkiej, drewnianej podkładce, lecz nie wcześniej, jak rozkaże pilot.

— Baczność!—krzyknął inżynier. Pociągnął szybko za drut miedziany, połączony z tylnymi raketami.

Naraz z pod łodzi buchnęły dwa pęki płomieni i dymu, aeroplan silnie drgnął, skrzydła jego silnie zakołysały się, z dźwiękiem, przypominającym trzeszczenie, zupełnie jakby płonąc niecierpliwością sunięcia na spotkanie wichrów Oceanu Spokojnego.

Naciskając na pedał dźwigu ruchu, Mau-

rycy Rembeau nadał śrubom szybkość 1800 obrotów.

— Rąb!—krzyknął silnym głosem.

Topór opuścił się i łódka, ślizgając się z coraz bardziej rosnącą szybkością, posuwać się zaczęła naprzód. Mniej niż przez sekundę, łódka znalazła się na skraju platformy.

Ze spartym oddechem, wszyscy widzowie ujrzeli, jak aeroplan opuszczał się ku morzu z coraz więcej rosnącą szybkością, zupełnie jak bolid, który pojawił się w sferach między planetarnych i gotów jest pogрузić się w Oceanie.

Lecz inżynier puścił w ruch ster głębokości. I oto przebiegłszy przez mgnienie oka kilka metrów nad wodą, aeroplan wspaniale podniósł się do góry, osiągnął wysokość dwudziestu metrów i zawrócił na lewo.

Rozwidniło się już zupełnie. Tam, na wschodzie, pierwsze promienie słońca padły na żółte skrzydła wznoszącego się ptaka. Okręty japońskie ujrzaly aeroplan, o zamiarze odlotu którego Kerdoc prawdopodobnie sygnalizował im poprzedniej nocy.

Dwie błyskawice ukazały się w oddali i ci, co spostrzegli je, krzyczeli: „ratujcie się!”

A tymczasem aeroplan, przebiegłszy kilka mil na lewo, przypominał olbrzymią czajkę,

krażącą nad morzem. Widać było, jak znów wykrecał się, zwiększał, przybliżał do Medwey, dlatego, ażeby zakreślić umówione koło.

A potem „ptak Katty“ (Kates-bird), gdyż tak nazwał go Maurycy Rembeau, zawrócił na wschód z wygiętymi płaszczyznami skrzydeł, bieg jego powiększył się, szum motoru roztopił się w przestrzeni. Długi ogon jej zmniejszał się, z czajki zamienił się w jaskółkę morską, potem w małą białą plamkę, która znikła w promieniach świtu.

BIBLIOTEKA URSZULANEK
W KOŁOMYI.

X.

Nad oceanem Spokojnym.

Teraz „ptak Katty“ płynął nad pustą przestrzenią oceanu Spokojnego. i skalista wysępka Medwey'u powoli znikła za nią w mgłę porannej. Olbrzymi żółty ptak ślizgał się w powietrzu, pchany naprzód śrubami, z rosnącą coraz bardziej szybkością.

Obydwaj lotnicy nie zamienili z sobą ani słowa. Obydwaj milczeli pod wrażeniem tej uroczystej chwili.

Wszystko to wydawało się cudownem, olbrzymiem, prawie nadnaturalnem, szczególnie lejtantowi Forsterowi, zupełnie nieobeznanemu z aereoplanem—oprócz jego motoru.

W ten sposób człowiek, który z początku na łodziach podwodnych sięgnął w głąb oceanu — teraz przedostał się do dziedziny ptaków, i nie jako aeronauta z jego olbrzymimi maszynami, otrzymującymi, dzięki wodorodowi, siłę nośną, której nie może rozwinąć

samodzielnie, lecz jako prawdziwe, lekkie ptaki, wygodniejsze od wszelkich innych sposobów lekomocji po wodzie lub ziemi.

Spełniło się mityczne marzenie Ikara, człowiekowi wyrosły skrzydła.

Amerykanin podczas lotu czuł nieokreślone uczucie, coś w rodzaju wrażenia, doznawanego przy szybkim opuszczaniu się windy.

Wzlot był właściwie najtrudniejszą chwilą podróży, tembardziej, że nie było możliwości dokonania próby. Dla tego też chwili tej obawiali się wszyscy najwięcej, nie śmiejąc przyznać się do tego.

Z chwilą, gdy aeroplan „ptak Katty“ pomyślnie wyruszył w drogę, nie było zasady do przypuszczenia, że nie dotrze do celu podróży.

Sir Archibald Forster spokojnie wdychał pełną piersią morskie powietrze, przyczem tarcza z miki chroniła lotników od zbyt ostrego wiatru przy tak szybkim locie.

Co zaś do Maurycego, to czuł on jakieś upajające wzburzenie, przepełniające duszę jego i dające mu niezachwianą wiarę w powodzenie...

Bezwarunkowo dotrze... Jeżeliby sądzonym mu było zginać, to stało by się zaraz.

Usłyszał by w kilka minut po odjeździe, z tyłu nieprawidłowe wybuchy w biegu mo-

toru. Nastąpiło by potem odrazu zmniejszenie się biegu i śruby poruszały by się z szarpaniem w powietrzu. Wtedy aeroplan, przestając być posłusznym sterowi głębokości, powoli zbliżył by się do fal i ostatecznie opuścił by się na nie. I tegoż dnia stał by się łupem japońskich torpedowców, krążących przy brzegach wyspy.

Posłuszny i zręczny aeroplan, ślizgający się na wysokości dwustu metrów nad powierzchnią wody, zwrócił swe skrzydła przeciw wiatrowi i, jednym poruszeniem skrzydeł, znalazł się na wysokości stu metrów nad powierzchnią wody, błyszczące fale której zlały się przed oczami lotników w gładką, lazurową równinę...

Cudowny ptak podnosił by się coraz wyżej i wyżej, ku słońcu, które wypłynęło teraz z poza fal oceanu Spokojnego, jeżeli by Maurycy Rembeau nie przechylił w przeciwną stronę płaszczyzny, skierowanej przeciwko wiatrowi.

W kilka sekund potem aeroplan leciał znów na wysokości dwudziestu metrów nad wodą i trzymał się tak z ścisłością matematyczną. Czuło się, że w razie życzenia lotnik mógłby lekko musnąć powierzchnię wody.

— Cudownie, Maurycy, cudownie...



To były pierwsze słowa, które wyszły z ust amerykańcina.

Inżynier odpowiedział mu pytaniem.

— Jaki kierunek, Archibaldzie? Czy uważasz na strzałkę...

— Kierunek prawidłowy, Maurycy. Strzałka zawahała się w chwili odlotu tylko na dwa — trzy stopnie w tą i drugą stronę i ciągle wracała do 112°.

— 112° — to kąt kierunku do wyspy Oagu, rozumiesz?

— Albo do Honolulu, Bądź spokojny — obliczyłem ściśle.

I wskazał palcem na cyferblacie kompasu, zawieszzonego przed nim.

— Dążysz prosto, jak strzałka, — rzekł Archibald Forster po chwilowej obserwacji, — i potem dodał:

— Mknie on prędko... Nigdy nie myślałem, że można tak prędko jechać.

— Nie zapominaj, że nasz motor ma 80 sił koni parowych i że rzadko na aeroplanie można znaleźć podobny motor.

— Wiele my robimy kilometrów?

— Prawdopodobnie więcej, niż 100 kilometrów na godzinę. Zbyt na to obeznany jestem z szybkościami aeroplanów, ażeby zdać sobie sprawę, czy robimy 120 czy 150 kilometrów. Możemy to wyliczyć, po zmierzeniu

przebytej przestrzeni i dla tego potrzebnym nam jest punkt oparcia. Jaka pierwsza wyspa będzie na naszej drodze?

Lejtnant amerykański rozwinął kartę morską, zawczasu włożoną do torby skórzonej z lewej strony. Była zupełnie biała, przedstawiając tylko część oceanu Spokojnego, z oznaczeniami na niej cyframi głębokości.

Tylko u góry karty łańcuch wysp Sandwich odcinał się na pustyni oceanu w formie kilku szarych plam, pociętych żółtymi krążkami, wyobrażającymi latarnie morskie.

Oficer amerykański przeniósł wzrok z karty na bezkresną przestrzeń morza, zalanego oślepiającymi promieniami wschodzącego słońca. Na gładkiej i błyszczącej powierzchni morza najmniejsza nawet skała odcinała by się zupełnie wyraźnie.

Nie było widać ani jednej skały, ani jednej rafy.

— Upiłyśmy trzy godziny od czasu, gdyśmy wyjechali. Na samej drodze naszej znajduje się wyspa Gardner. Jeżeli będziemy trzymać się ściśle zakreślonego kierunku 112° — powinniśmy przelecieć nad nią...

— Odcina się bardzo od morza?

— Tak, to skała wysokości 52 metrów.

— W jakiej odległości od Medwey?

Oficer sprawdził według zawczasu sporządzonej tablicy.

— O 1020 kilometrów.

— O której godzinie wyjechaliśmy z Medwey?

— O piątej minut 25.

— W takim razie około południa powinniśmy ujrzeć tą skałę, i możemy wtedy obliczyć naszą szybkość.

Młody inżynier mówił nie odwracając głowy, nie odrywając oczu od powierzchni morza.

Przyjaciel jego zauważył to.

— Nie będziesz w stanie trzymać uwagi w takim naprężeniu dłużej nad dziesięć do dwunastu godzin nie zmrużywszy oczu lub nie uległszy straszemu wyczerpaniu mózgowemu. Awiacja możebna jest tylko przy warunkach zmiany dyżurów, tak jak na okrętach. Czy nie zgodzisz się czasem ustąpić mi swoje miejsce przy kole za kilka godzin, na przykład nad wyspą Gardner, gdy będziemy na połowie drogi od wielkich wysp.

— Z chęcią bym to zrobił, mój drogi Archibaldzie, jeżelibym nie obawiał się naruszenia równowagi w chwili zamiany miejsc przez nas. Widziałeś, jak starannie, wieszając swój aparat, doprowadziłem go do równowagi nader ściślej, w stosunku do jego osi.

Cóż będzie, jeżeli równowaga ta naruszona zostanie, jeżeli zajdzie nachylenie?

— Lecz równowaga ta naruszona już została różnicą naszej wagi. Jesteś lżejszym odemnie... Pamiętasz... kiedy na skutek twej prośby, zważyłem się, okazała się między nami różnica 6—7 kilogramów.

— Prawda! Prosiłem cię o zważenie się dla określenia tej różnicy. Lecz dziesięć a nawet i dwadzieścia kilogramów nie wywołują bardzo dotkliwego nachylenia się skrzydeł, lecz przy przeniesieniu 80 lub 85 kilogramów z jednej strony osi na drugą—to inna rzecz. Lepiej nie robić takiej próby...

— W takim razie, myślę, że aeroplan nie prędko znajdzie zastosowanie, — rzekł, śmiejąc się, amerykańczyk, — nigdy podróżni, a szczególnie podróżne, nie będą w stanie wysiedzieć nieruchomo kilka godzin na jednym miejscu.

— Niewygoda ta zastąpioną będzie przez wahadła, które automatycznie podtrzymywać będą równowagę. Francuzki wynalazca Marmonnier wynalazł w tym kierunku bardzo dociepny system. Kiedy aparat porywem wichury lub z jakiegobądź innego powodu, wyprowadzony zostanie z równowagi, to wahadło, pozostając w pozycji pionowej, okazuje

wpływ na skrzywienie płaszczyzny w pożądanym kierunku i automatycznie przyprowadza ją do równowagi.

— Bez wątpienia, że w tej dziedzinie wszystko idzie naprzód olbrzymimi krokami. Należy przyznać, że Francja daleko wyprzedziła wszystkie kraje, nawet swoją ojczyznę... Toć francuz, wielki francuz, Bleriot, pierwszy urzeczywistnił cud, wzniosłszy się z wyżyny skały Pas-de-Calais na to, ażeby opuścić się na nietkniętej dotychczas ziemi Wielkiej Brytanji. Teraz, w porównaniu z tem, co dokonano w ostatnich czasach, czyn jego mógłby uleść zapomnieniu, lecz tak się nie stało, i to jest słuszne. Nazwisko jego wslawione jest na równi z nazwiskiem Montgolfier'a, Watta i Edisna. Można postawić go na jednym poziomie tylko z Lathamem, który pierwszy ryzykował wzniesić się po nad powierzchnie wodne i upadł. Lecz pierwszeństwo Bleriot'a polega na tem, że on, po wielu latach, poświęconych badaniom, sam zbudował aeroplan i przeleciał na nim przez cieśninę... W obecnej chwili znów francuz zamierza pobić wszystkie rekordy świata... Najbardziej zaś niezwykłym jest to, że francuz ten niespodziewa się żadnej nagrody za ten swój czyn bezprzykładny.

— Mylisz się, Archibaldzie! Czekają go po spełnieniu tego czynu tak piękna, nagro-

da, że nie może równać się nawet z tem, co on może dokonać...

I podczas gdy lejtnant Forster, nadzwyczaj uważnie spełniający swe obowiązki mechanika, nieustannie napełniał rezerwuar benzyną, Maurycy Rembeau dokonywał różnych prób z motorem. Ku wielkiej radości swej przekonał się o zupełnej poprawności jego, i o tem, że może osiągnąć wolniejszy bieg od 50 do 60 metrów na minutę...

Uspokojony temi próbami, podniósł się znów na średnią wysokość 20 metrów, puścił motor pełnym biegiem i znowu wznosił się ku słońcu, stojącemu teraz bardzo wysoko i złocącego promieniami swemi bezbrzeżną równinę wodną.

— Mam sześć pustych baniek, co zrobić z niemi?— spytał amerykańnik.

— Zachować starannie... Na aeroplanach niema potrzeby wyrzucania balastu, tak jak na aerostatach. Być może, że naczynia te przydadzą się nam w Honolulu dla odnowienia zapasów. Benzynę przywożą zdaje się w beczułkach, a to jest daleko mniej wygodnym od baniek, tak z punktu widzenia podziału ciężaru, jak i przy napełnianiu rezerwuaru.

— Żebyśmy tylko znaleźli tam benzynę?

— Mnie to bardzo niepokoi, drogi Archi-

baldzie. To teraz jedyna troska moja po tem, gdy przekonałem się o prawidłowości biegu aparatu...

Uwaga jego zwróconą została ruchem lejtnanta Forstera. Oficer podniósł się dlatego, ażeby lepiej rozejrzeć powierzchnię morza i wyciągnął rękę w kierunku widnokregu...

— Czarny punkt, z prawej strony na przodzie...

— Okręt?

— Nie, wszak nie znajdujemy się na linii okrętów, które, kierując się do Japonji lub na wyspę Zund z Honolulu, omijają to skaliste miejsce i przechodzą więcej na południe.

— To wyspa Gardner,—oznajmił amerykańkanin, po kilku minutach obserwacji.

— Czyżby?

— Jestem pewien.

— Czterdzieści minut po jedynastej,—rzekł amerykańkanin, kiedy aeroplan przebiegł obok wyspy z szybkością huraganu.

— Zmierzyłeś ściśle odległość między obydwoma wyspami, Archibaldzie?

— O ile to było możebne według kart admiralicji, znalezionych przezemnie w biurku majora Gezey. Odległość równa się 1020 kilometrom.

— W takim razie wynik otrzymaliśmy dużo lepszy, niż przypuszczałem,—rzekł młody inżynier, dokonawszy szybko wyliczenia w myśli. — Robiliśmy od chwili wyjazdu naszego średnio po 165 kilometrów na godzinę.

— Nigdy nie uwierzyłbym w możebność podobnej szybkości, jeżeliby cyfry nie potwierdzały tego. Robiłem do 100 kilometrów na godzinę samochodem, i choć cyfra ta znacznie jest niższą od podanej przez ciebie, lecz wydawało mi się, że poruszałem się po drodze szybciej, niż teraz. Powiem więcej, jazda po ziemi sprawia daleko silniejsze wrażenie, niż unoszenie się w powietrzu.

— Jestem tegoż samego zdania, lecz zależy to od hałasu i trzęsienia samochodu, który przy znacznej szybkości, skacze, a nie ślizga się jak aeroplan i jeszcze dzięki bliskości przedmiotów, ruch których wydaje się nam bardziej szybkim, niż ruch tych fal, uchodzących z pod naszych nóg.

— Sto sześćdziesiąt pięć kilometrów! — powtórzył zdumiony amerykańkanin, — jakiejżeż szybkości dościgną one w następstwie?

— Uczeń twierdzą, że wkrótce dosięgną szybkości 200 kilometrów, a później dojdzie do 300 i 400 kilometrów na godzinę.

— Czterysta kilometrów,—zawołał ame-

rykanin, — wszak to 111 metrów na sekundę. To szybkość ruchu kuli rewolwerowej...

— Ma się rozumieć!

— Lecz wtedy niemożliwym będzie oddech i trzeba będzie budować zamknięte pomieszczenia dla pasażerów, szklane kioski dla pilotów...

— Trzeba będzie bardzo wiele tych rzeczy, o czym i nie myślimy i teraz. Aparat, na którym lecimy w tej chwili, wyda się wtedy przestarzałym i śmiesznym, zupełnie tak samo, jak pierwsze lokomotywy wydają się nam marnymi i niepewnymi w porównaniu z ciężkimi i masywnymi współczesnymi compound-parowozami. Potomkowie nasi znajdą to, czego nam brak najwięcej—środek utrzymania się w powietrzu, kiedy zepsucie motoru powstrzyma ruch śrub. Aeroplan przyszłości będzie wprowadzany w ruch przy pomocy elektryczności, i jeżeli aparat w czasie wzlotu skorzysta ze swej szybkości—w części dla naładowania swych możebnie lekkich akumulatorów, które będą wynalezione przez jakiegobądź Edisona, — to możebnie długo będą trzymać się w powietrzu, nie dopełniając zapasów siły motorowej. Być może, tą energję elektryczną zapożyczać będą od chmur, od atmosfery, posiadającej bezgraniczne ich zapasy...

A „ptak Katty“ podążał dalej wciąż naprzód i naprzód, trzymając się na wysokości 50 metrów.

O w pół do czwartej na widnokregu zarysowały się góry różnej wysokości.

Lejtnant Forster, który wpadł w zachwyt na ten widok, zawołał:

— Oto i wielkie wyspy!

I przepełnieni nadzieją urzeczywistnienia pierwszej części swej misji, po dostaniu się do ziem zamieszkałych, ażeby znaleźć tam telegraf—młodzi ludzie z coraz bardziej rosnącym zaniepokojeniem wpatrywali się w występującą z fal Oceanu wyspę Nigo, stanowiącą jakby przednią straż wysp Sandwich...

Po długim, dwunastogodzinnym przelocie na lotników wywarła silne wrażenie ta bliskość wyspy, która, być może, stanowić będzie kres ich niebezpiecznej podróży.

Maurycy Rembeau wznosił się na wysokość 200 metrów, jakiej nie osiągnął jeszcze do tej chwili, dlatego tylko, ażeby wobec bliskości szczytów gór nie robić zbyt wielkich kątów z płaszczyzną widnokregu. Jednocześnie zmniejszył liczbę obrotów śrub do 900, a więc i szybkość aeroplanu do 80 kilometrów dlatego, ażeby swobodnie rozporządzać kierunkiem i mirażami. Minawszy spadzisty brzeg, otaczający wyspę Nigo, „ptak Katty“

znalazł się nad gładkiem płaskowzgórziem, pokrytem rzadką trawą, potem przeleciał nad mizernymi drzewami, które wyrosły na kamienistym gruncie.

Za niemi wznosiła się skalista góra, stanowiąca najgłówniejszą część wyspy.

Maurycy Rembeau obrał to miejsce dla opuszczenia się.

Lejtnant Forster zdumiewał się nad lekkością, z jaką stopniowo opuszczał się ptak automatyczny.

Pociągnawszy ku sobie ster kierunku, wykrzywił skrzydła w tą stronę, gdzie chciał zawrócić, pionowa płaszczyzna, umieszczona na końcu długiego ogona „ptaka Katty,” wygięła się w żądanym kierunku i aeroplan skierował się do szczeliny z lekkością, niedostępną dla żadnego innego ekwipaża. Jeszcze jeden ruch sterem głębokości i aeroplan był na równinie.

Z drugiej strony tej platformy, nie dalej, jak o trzy kilometry, widniało morze.

Lecz Maurycy Rembeau nie myślał wyładowywać na pochyłej płaszczyźnie wyspy, gdyż oczom jego ukazał się cały szereg skał.

Podążał dalej pełnym biegiem. W przeciągu pół godziny leciał nad wielką wyspą.

— Oto Koloa,—rzekł oficer amerykański. Maurycy Rembeau bystro spojrzął na

lewo, Widniała tam niewielka wioska, pierwsza zamieszkała miejscowość na tych wyspach.

— Wiele pozostało benzyny, Archibaldzie?

— Około piętnastu baniek—150 litrów.

— W takim razie marsz do Oagu.

I złoty ptak w dalszym ciągu pędził swą drogą.

Teraz aeroplan przelatał nad plantacjami trzciny cukrowej, stanowiącemi bogactwo wysp Sandwich.

Za zakrętem brzegu wyrosła przed nimi niespodziewanie skała. Teraz „ptak Katty“ musiał znów wyjechać na otwarte morze. Lejtnant Forster określił wzrokiem kierunek, jakiego należało się trzymać—126°.

— W drogę, do Honolulu! — powtórzył inżynier.

I aeroplan znów puścił się w stronę bezbrzeżnych morskich równin.

Teraz oficer amerykański czuł się na „ptaku Katty“ tak samo dobrze, jak na pomoście swego krzyżowca.

Honolulu znajdowało się w odległości mniej niż trzystu kilometrów. Było około szóstej godziny i mogli dostać się tam przed zapadnięciem nocy.

I rzeczywiście, za godzinę na widnokrę-

gu ukazał się błyszczący ogień latarni morskiej, umieszczonej na szczycie Koreny na wysokiej skale.

Lotnicy mieli do swego rozporządzenia tylko godzinę światła dziennego. Inżynier przyspieszył bieg aeroplanu.

„Ptak Katty“ robił teraz 180 kilometrów na godzinę..

Naraz wyciągnięta ręka lejtnanta Forstera wskazała przyjacielowi na miasto, położone w dole.

— To port Pirl-Garbor. Na wysokim grzbiecie gór można rozróżnić forty, baterje, baszty.

— Jaki jednak sztandar powiewa nad tą niedokończoną fortecą?

— Nie można dojrzeć. Dwa krzyżowce, stojące w porcie, pomalowane są na szaroniebieski kolor, przyjęty przez japończyków dlatego, ażeby okręty ich trudniej było dostrzedz od strony morza.

— To zły znak.

— Oto jeszcze dwa krzyżowce przy wejściu do przystani. Podczas, gdy lejtnant Forster przyglądał się statkom, chcąc znaleźć odpowiedź na dręczące go pytanie — aerostat w dalszym ciągu podążał naprzód.

Można już było rozróżnić wały, zasłania-

jące działa, armaty z długimi, czarnymi pa-szczami, dwa szczyty środkowych wieżyczek.

Jeżeli okręty, krążące około Medwey'u, zawiadomiły mieszkańców Oagu przy pomocy telegrafu bez drutu—a to zupełnie możebne,— i jeżeli aeroplan został dostrzeżony na przyładku Barber, z chwilą swego ukazania się, to podczas przelotu nad fortecą spotkany będzie wystrzałami z mitraljez lub silną kano-nadą. Jeżeli zaś podążą nad morze, to tam wpadną pod wystrzały okrętów.

Wszystkie te myśli przebiegały w głowie Maurycyego Rembeau, podczas gdy „ptak Katty,“ dążył z nachylonemi skrzydłami w kierunku raf.

— Jakżeż dowiedzieć się teraz, — rzekł inżynier,—potem, gdy uniknęliśmy niebezpieczeństwa, czy znajdują się tam japończycy?

— Boję się to twierdzić, — odrzekł amerykańkanin,—lecz wszystko każe obawiać się tego. Jakież to są okręty, jeżeli nie japońskie? Roboty w Pirl-Garbor nie posunęły się o tyle, ażeby nasz rząd wysłał tam stałe wojsko morskie. A więc są to okręty japońskie; mimo to...

— Co robić?

— Opuścić się w Honolulu od północy, mijając forty i okręty.

Aeroplan pomknął teraz prosto do Ho-

nolulu, niedostrzegalnego dla dążących z północy wśród rozrzuconych wszędzie grup drzew. Hałas motorów dobiega do lotników, i samochody zatrzymują się i patrzą za dziwnym ptakiem, przecinającym błękit nieba wieczorowego.

— Znajdziemy tu wiele chcemy benzyny,—rzekł inżynier.

— Myślę, mój drogi Maurycy! Wszyscy milionerzy amerykańscy, przyjeżdżający tu dla odzyskania zdrowia lub pilnowania swych plantacji, posiadają samochody lub jachty. Wystarczą dwie godziny na to, ażeby odnowić wszystkie nasze zapasy.

— Słuchaj...

Z prawej strony dał się słyszeć grzmot, który gromkiem echem przemknął wśród wysokich gór. Oficer mruknął:

— Działo!...

Jakby w odpowiedzi w kilka sekund potem rozległ się bliżej, widocznie z miasta, drugi wystrzał.

— Być może, to sygnał na alarm,—rzekł Maurycy Rembeau.

— Prawdopodobnie. Widzieli nas w Pirl-Garborze, gdzie, bezwątpienia, telegrafowali o wyjeździe naszym z Medwey i teraz wszyscy uprzedzeni są o tem.

— Rodacy nie uciekaliby się do podobnej sygnalizacji...

— Przypuszczam...

— W takim razie wznoszę się...

— To będzie rozsądne, a jeszcze rozsądniej byłoby pośpieszyć się...

W kilka minut potem „ptak Katty“ osiągnął wysokość 200 metrów, a śruby jego, robiąc po 1600 obrotów—przyśpieszyły bieg nad otwarte morze.

Patrząc przez lornetę morską, lejtant amerykański czekał, dopóki pod nogami ich nie ukazało się podwórze, otoczone niewysokimi zabudowaniami. Można było rozróżnić małe, prawidłowe grupy, zupełnie jak kamienie, rozstawione do gry w domino, i inne, podążające widocznie na plac manewrów.

— To japończycy, — oznajmił lejtant Forster,—teraz jestem pewien tego... Prędeż, Maurycy!...

Więcej nie zdążył powiedzieć.

Dał się słyszeć trzask i grad kul rozsywał się w powietrzu, zupełnie jak rój much. Jedna z nich, widocznie, trafiła w motor, który brzęknął, inne przeszły przez motor.

— Nie jesteś ranny, Archibaldzie?—spytał inżynier.

— Nie, a ty?

— Nie! Trzymaj się!

I pod wpływem niespodziewanego natchnienia, Maurycy Rembeau ostro przekreślił ster głębokości, nachylając go ku ziemi. „Ptak Katty“ odrazu opuścił się o 200 metrów do 40 i zdawało się, że już zaczepia za szczyty palm kokosowych i drzew eukaliptusowych. W tejże chwili rozległa się druga salwa, skierowana do góry, z kądem on już zniknął.

Do uszu pilotów dobiegły krzyki, wycia: japończycy liczyli na upadek, który odda im w ręce śmiałych zdobywców powietrza.

Lecz ster szybko przekreślony został w drugą stronę i zaczepiając o drzewa, unikając skał „ptak Katty“ znikł przed wzrokiem tych, dla których wydawał się na wysokości dwustu metrów łatwym celem. Teraz rozściełał się przed nimi port i stojące w nim torpedowce.

Teraz nie pozostawało im nic więcej, jak skierować się do wielkiej wyspy Hawaj, gdzie japończycy, prawdopodobnie, jeszcze nie wylądowali, gdyż nie było portu dla ukrycia krzyżowców.

Lecz kiedy aeroplan przechodził nad wałem koralowym, otaczającym brzeg morski Waikiki—dał się słyszeć pierwszy, od odjazdu, trzask motoru, potem drugi... i praca winetów zaczęła przerywać się drgnięciami, a potem pęknięciami...

To był początek agonji motoru.

Krzyk—lub raczej przekleństwo, wyrwało się z ust lejtnanta Forstera.

Zupełnie zapomniał o rezerwuarze.

Czyż nie zdąży teraz napełnić go i „ptak Katty“ z jego winy stanie się pastwą rekinów?



Amerikanin wylał wszystką benzynę w rezerwar.

Przelatali teraz ponad rafami koralowemi.

Lecz młody francuz pamiętał o takiej ewentualności. Nachylił aeroplan lekko ku morzu, ażeby resztką benzyny z rezerwuaru dostała się do karboratora i podtrzymała w przeciagu kilku minut bieg motoru.

Nie odwracając głowy, mruknął przez zęby:

— Prędeż, Archibaldzie,—benzyny! Na Boga, spiesz się!

Amerikanin nie oczekiwał tej prośby; porwał za bańkę i gorączkowo starał się odkorkować ją.

Lecz to mu się nie udawało i jak to często w podobnych bywa wypadkach, nie miał pod ręką narzędzia, ażeby obciąć ołowiany korek.

— Drugie! prędeż drugie naczynie! — krzyczał inżynier zdławionym głosem, gdyż znajdował się w odległości pięciu lub sześciu metrów nad powierzchnią wody i szybkość jego widocznie się zmniejszała.

Amerikanin porwał inne naczynie, które udało mu się otworzyć z łatwością, i wylał wszystką benzynę w otwór rezerwuaru.

Trzask momentalnie ustał.

— Prędeż! jeszcze jeden!...

Podczas, gdy sir Archibald gorączkowo odkorkowywał i napełniał rezerwuar do wierzchu—inżynier ostro skrzył aeroplan na prawo, gdyż o trzysta metrów od nich znajdowały się skały, o które aeroplan mógłby się rozbić...

Nie odzyskawszy jeszcze równowagi po wzburzeniu, lejtnant Forster zaczął sam sobie wymyślać, zapewniając, że ta straszna lekcja wyleczy go nazawsze z roztargnienia.

— Roztargnienie, rzeczywiście, surowo wzbronionem jest lotnikom, — rzekł błąd jeszcze Maurycy Rembeau, — ocaliliśmy się szczęśliwie, widziałeś torpedowiec, który podszedł do wału z lewej strony, spodziewając się zdażyć w porę i zabrać nas z powierzchni wody?...

— Nie zauważyłem torpedowca, gdyż zbyt zajęty byłem swemi bańkami z benzyną...

— Powiedz mi teraz, jakiej gwiazdy powinienem trzymać się dla zdobycia kierunku. Szkoda, że przyjeździem do Hawaji w nocy; księżyc wszędzie później...

— Przeciwnie — tem lepiej, Maurycy... Jeżeli tam stoi jaki torpedowiec, to nie zauważy naszego przybycia i będziemy mieć dość czasu dla poszukania benzyny w małych wioskach i fabrykach, łańcuchem otaczających wyspę...

Jeżeli by obejrzał się w tej chwili, ujrzałby przy ostanich promieniach zachodzącego słońca, wrzeczono stalowe, szybko przecinające fale i nie byłyby tak spokojny.

Był to japoński torpedowiec—niszczyciel, jeden z psów morskich, robiących od 28 do 30 węzłów.

Pomknął on całą siłą pary za aeroplanem.

XI.

Na skraju wulkanu.

Noc zapanowała nad Oceanem Spokojnym. Na niebie zapłonęły gwiazdy i aeroplan płynął po nad ciemnymi falami,

— Trzeba się nam będzie rzec zamiaru telegrafowania do San-Francisco,—rzekł Maurycy, kiedy równy stuk motoru rozpędził jego ostatnie obawy, — mogliśmy zrobić to tylko z Honolulu, że zaś japończycy wtargnęli tam...

— Widocznie przerwali wszelką komunikację z Ameryką, lecz, być może, jaka bądź stacja telegrafu bez drutu urządzoną jest na którejkolwiek z wielkich wysp i niezagarnięta przez nich...

— Nie licz na to, nie pozostaje nam nic więcej, jak przelecieć nad pozostałą częścią Oceanu Spokojnego,—rzekł Maurycy.

— I dlatego, żeby tam nie wiem co, ko-

niecznem jest dla nas zdobycie benzyny, — dodał lejtnant.

Przy świetle lampy elektrycznej, jaką zabrali z sobą, lejtnant Forster przeglądał mapę.

— Wyspa Trędowatych,—rzekł.

— Zamieszkują ją wyłącznie trędowaci?

— I dozorujący ich misjonarze i zakonnicy franciszkańscy.

— W takim razie, japończycy, napewno, nie ukazali się na tej wyspie.

— Prawdopodobnie nie! cóż znaleźli by oni na niej. Nie znajdziemy tam ani kropli benzyny, gdyż jest to wyłącznie królestwo choroby i śmierci, i zgodzisz się, że mijonery amerykańscy—posiadacze jachtów i samochodów—nie będą ryzykować, ażeby mieszkać w podobnym sanatorjum.

— W takim razie musimy lecieć prosto do Hawaji.

— Bez namysłu...

— Czy wystarczy na to benzyny?

Amerikanin przeliczył pozostałe bańki.

— Pozostało więcej, niż potrzeba dla przebycia oddzielającej nas od wielkiej wyspy przestrzeni 300 kilometrów.

— Czy znasz tę wyspę?

— Znany mi jest tylko jeden punkt na niej... ja, jak i wszyscy turyści, nie chcący

przepuścić jakiegobądź jedynego w świecie cudu natury—wjeżdżałem na mule na wielki wulkan Kiloaa, położony w pobliżu morza, mający 3000 stóp wysokości. Oprócz tego na skraju krateru mieści się jeden z najbardziej komfortowych hoteli amerykańskich...

— Hotel... znaczy się, że tam znajdziemy i benzynę...

— Wątpię, gdyż nie widziałem tam samochodów... Drogi tam są zbyt marne do tego...

— Gdzie się więc udać...

— Poczekaj! Przypomniałem sobie wielką plantację trzciny cukrowej, w pobliżu wulkanu, na drodze do małego portu. Tam prawdopodobnie znajdziemy benzynę...

— W takim razie jak najprędzej do Hawaii...

Zapadła noc. Młody francuz, obawiając się w ciemności opaść w morze, zmniejszył bieg aeroplanu, tak że nie robił on więcej nad 50 do 60 kilometrów na godzinę, unosił się zaś o 100 metrów nad powierzchnią wody. W takiej pozycji, wielki, hałasujący ptak, wyrzucający wielkie snopy rozpalonego gazu, napewno zwróci uwagę mieszkańców wyspy, położonej nie dalej, jak o dwie mile.

Naraz niebo rozblęskło purpurową zorzą, to zamieniającą się w miedziano-czerwoną

chmurę, to wybuchającą jaskrawszem odbiciem, przerzynanem u podstawy bledszemi przebłyskami.

Amerykanin, obserwujący przez pewien czas te zmienne zjawiska, wyciągnął rękę w stronę widnokregu.

— Mauna—Loa!—wykrzyknął.

I rzeczywiście, tylko ten wulkan mógł w odległości więcej niż osiemdziesięciu kilometrów dać widowisko tak jaskrawego snopu płomieni.

Na jasnym, podrównikowem niebie szczyt jego, niemający równych w całej Oceanji, okryty wiecznym śniegiem, wśród miejscowości, gdzie czaruje wieczna wiosna.

Aeroplan leciał wzdłuż brzegów Hawaji... Ominął już szczyt Kopogo, najbardziej wschodni w archipelagu—i na lewej stronie poczęło świtać.

Było w pół do trzeciej rano. Lejtnant Forster nadzwyczaj sumiennie i uważnie wypełniał swe obowiązki i gdy odwrócił się dlatego, ażeby schować bańkę po benzynie, z ust jego wyrwał się zdławiony okrzyk:

— Co to znaczy?

— O czem mówisz!—spytał inżynier, nie odwracając głowy.

— O okręcie, który omija przylądek Ko-

pogo w odległości pół godziny jazdy ztąd i który, widocznie, daży w ślad za nami.

— Okręt wojenny?

— Bezwątpienia! Torpedowiec—niszczyciel, o ile mogę sądzić... Poczekajcie... powiem wam zaraz napewno...

I, odwróciwszy się, amerykańnik z niepokojem zwrócił lunetę na przybysza.

— Nie ulega wątpliwości,—rzekł,—to jeden z najszybszych okrętów, robiących do trzydziestu węzłów na godzinę.

— I przypuszczasz, że japoński?

— Inaczej być nie może. Na brzegu tym niema naszych okrętów i szczególnie podobnego typu. To okręt z turbinami ostatniego systemu. Japończycy mają sześć podobnych torpedowców.

— Czyżbyż śledzili nas od Honolulu?—spytał inżynier.

— Bardzo możebne; nas bardzo łatwo śledzić z blasku, jaki pozostawiamy po za sobą. Przytem mogli oni obrać którą drogę, podczas gdy my lecimy wzdłuż brzegów wyspy.

— Uważaj chwilę na koło i daj mi swą lornetę...

Prawdopodobnie niepokój inżyniera był wielki, jeżeli zgodził się ustąpić na chwilę kierownictwo aeroplanem.

Nie wstając z miejsca, Archibald nachylił się trochę i ujął za koło. Maurycy Rembeau, odwróciwszy się, podniósł lornetę do oczu.

— To, rzeczywiście, jeden z najszybszych okrętów i obawiam się, że posłany jest na to, ażeby nas ścigać. Co robić teraz?

— Postępować zgodnie z naszą pierwotną decyzją, — odrzekł oficer, — dostać się do Kiloca, gdyż pewni jesteśmy, że tam znajdziemy wszystko, co nam koniecznie potrzeba.

Maurycy Rembeau zajął swe miejsce u steru.

— Zdecydowane! — rzekł. — W ten sposób, możemy się jeszcze ukryć przed ich wzrokiem ostrym zakrętem na lewo i znaleźć gdzie bądź dolinę, gdzie ukryjemy się przed ich lornetami...

— Wszystko jedno, — mruzczał lejtnant Forster, — oto jeszcze jedna komplikacja. Wszystko szło zbyt dobrze dotychczas!..

Nie wiedząc, gdzie się znajdują i rozporządzając tylko kilku minutami czasu dla powzięcia stanowczej decyzji, Maurycy Rembeau zatrzymał się przy początkowo przyjętym planie. Tam przynajmniej dla nich — wszystko pozostałe — rzecz drugorzędna.

Przeleciał nad pochyłością góry, usianą

opalonemi skałami, czarną lawą i żółtym tufem.

— Gdzież są te plantacje, Archibaldzie.

— Na lewo, lecz nie widzę na tej stronie miejsca, dogodnego dla wlotu aeroplanu.

— W takim razie opuścimy się na sam wulkan!

— Myślałem o tem, gdyż jeżeli oni rzeczywiście ścigają nas, to możemy wygrać parę godzin, oddzielając się od nich kraterem.

— To prawda... lecz spirytus... jak go nam dostarczą?...

— Tą drogą, która idzie jeszcze więcej na lewo i ja, odszukam ją, przy pomocy kanaków, z plantacji. Przeszedłszy ją, można uniknąć jednocześnie i krateru, i japończyków...

— Myślisz, że oni rzeczywiście ścigają nas będą?...

— Możliwe, i raz już wypłynęli dla tego z Honolulu... zdobyć warta jest tego!...

— Wolę utopić aeroplan mój w lawie, niż oddać go w ich ręce...

— Oto i hotel...

Na wierzchołku góry rzeczywiście widniał wielki gmach w współczesnym stylu, dwupiętrowy i otoczony nikłemi drzewkami i kilku chatami.

Kiedy aeroplan znalazł się na wysokości

dwudziestu metrów, z ust inżyniera wyrwał się naraz okrzyk:

— Jak tu pięknie!..

Widok był rzeczywiście zachwycający, nieporównany!

Wulkan wyobrażał okrągłą studnię, głębokości 100 metrów i szerokości 400 metrów. Mieszcząca się w nim rozpalona lava znajdowała się w ciągłym ruchu i bezustanku wyrzucała z głośnym hukiem wysokie na dwadzieścia metrów słupy ognia, rozbijające się o brzegi jego.

Hałas i okropny żar nie dają się opisać...

Dlatego, ażeby dotrzeć od obranego miejsca, musieli przelecieć nad kipiącym jeziorem lawy.

Była to chwila niezapomniana...

Nareszcie przebyli krater i opuścili się z drugiej strony, na gładką skalistą płaszczynę...

Lejtnant Forster zeskoczył na ziemię i wyjął zegarek. Było w pół do czwartej.

„Ptak Katty“ znajdował się już w drodze dwadzieścia dwie godziny. Zrobił razem z okrążeniami nocnymi 2900 kilometrów, przy średniej szybkości 130 kilometrów na godzinę.

Do San-Francisko. pozostawało jeszcze 3300 kilometrów.

Czy można będzie myśleć o puszczeniu

się w dalszą drogę, po zaopatrzeniu się w drogocenny płyn, grający rolę krwi w aeroplanie.

To będzie rozstrzygnięte przez udającego się natychmiast w drogę amerykanina.

Uda się przedewszystkiem do hotelu, ztamtąd zatelefonuje zaraz na plantację, prosząc o dostarczenie spirytusu, za który natychmiast zostanie zapłacone. On zaś pojedzie na zabrany z hotelu koniu przed mułami, wiozącymi drogocenny ładunek...

Liczył, że do powrotu jego upłynie sześć godzin.

W czasie nieobecności przyjaciela Murycy przekręcił aeroplan na pół obrotu, gdyż powinien był jechać w stronę krateru. Potem oczyścił i wyrównał powierzchnię ziemi, jak można najlepiej.

A teraz oczekiwał na sygnał, jaki mu miał dać przyjaciel z hotelu, w razie znalezienia tam benzyny lub spirytusu.

XII.

P o ś c i g .

Stojąc na najwyższym brzegu krateru, inżynier dojrzał przez lunetę, pozostawioną mu przez przyjaciela, wielki torpedowiec, krążący o kilkaset jardów, w pobliżu latarni morskiej, bez wątpienia dla wymiany sygnałów z jego strażą. Widział potem, jak torpedowiec zbliżył się do brzegu, opisał półkrąg i znikł za skrajem wulkanu.

Kiedy wszystkie roboty przygowawcze ukończone zostały, młody francuz podniósł oczy na hotel i nie zobaczył tam powiewającego sztandaru amerykańskiego. A więc lejt-nant Forster dotarł już do niego i zdążył telefonować na plantację. Odpowiedź była jasną: tu przyszła spirytus. Maurycy Rembeau wolałby odbywać dalszą podróż z benzyną, gdyż nigdy nie można być pewnym stopnia oczyszczenia spirytusu.

Lecz trzeba było uważać za wielkie szczę-

ście i takie załatwienie sprawy, Zajął się więc oczyszczeniem i doprowadzaniem do porządku motoru, oraz przygotowaniem baniek, celem jaknajprędzszego napełnienia ich spirytusem.

Skończywszy te przygotowania, wyciągnął się na brzegu krateru, starając się przezwyciężyć coraz bardziej ogarniającą go senność.

Napróżno szukał przez lornetę na Oceanie tajemniczego torpedowca. I wydało mu się, że na pierwszych odkosach wulkanu widzi poruszające się czarne punkty, które znikły w lesie palm kokosowych. Czy byli to robotnicy jednej z licznych plantacji? a może marynarze, wysłani przez torpedowiec japoński?

Lecz chociażby japończycy pokusili się o wdarcie na wulkan i zabranie do niewoli „ptaka Katty,“ to zjawia się zbyt późno: zbawczy spirytus będzie dostarczony i aeroplan uleci wcześniej, nim oni się tu dostaną...

Wyczerpany naprężoną w przeciagu dwudziestu czterech godzin uwagą, napróżno starał się zwalczyć ogarniający go coraz więcej sen.. Wreszcie oczy jego skleiły się i usnął smacznie w cieniu drzew...

Rozbudził go wystrzał, który się rozległ

gdzieś w pobliżu. W tejże chwili usłyszał głos Forstera. Jednym skokiem zerwał się na nogi.

— Archibald!..



— Ach, to ty!.. Zaniepokoiłem się bardzo, nie znalazłszy cię na miejscu. Lecz jesteś nieuszkodzony... Wiedz, że japończycy zbliżają się tu...

Usłyszeli świst, który przebiegł nad ich głowami i z przeciwległej strony krateru, na

wierzchołku wysokiej skały, ukazał się mały, błękitny obłoczek.

— Na szczęście, — rzekł amerykanin, — przysłała ci szczęśliwa myśl oddzielić się od nich kraterem...

Przybyli tymczasem kanacy, wiozący na mułach beczułki ze spirytusem. Odprowadzili muły za skałę, i przy pomocy lejków zabrali się do przelewania spirytusu z beczulek do baniek. Robota posuwała się naprzód szybko, choć ze wszystkich stron sypały się na nich kule marynarzy japońskich. Na szczęście, chybiali oni za każdym razem.

Kiedy bańki zostały napełnione i ostrożnie zakorkowane, piloci odnieśli je do łodzi i starannie ustawili za maszyną.

Po ułożeniu wszystkiego, okazało się, że użyto na to mniej czasu, niż liczone... Pozostała jeszcze jedna beczułka spirytusu o 30 gallonach, t. j. trochę więcej nad 120 litrów.

— Trzeba wziąć go z sobą, — rzekł Maurycy Rembeau, — z tyłu mamy dosyć miejsca na niego i będzie łatwo, kiedy poziom płynu w rezerwuarze zniży się. wylać go z beczułki przy pomocy rurki gumowej, odgrywającej rolę syfonu...

— Lecz to powiększy ładunek, — rzekł amerykanin.

— Potrzebowaliśmy 480 litrów dla prze-

bycia 2800 kilometrów,—rzekł,—a do San-Francisko będzie 3500, t. j. o 700 kilometrów więcej. Te 120 litrów i będą stanowić ściśle konieczny dla odbycia tej drogi nadmiar spirytusu.

— Nigdy aeroplan nie podniesie tego nadmiaru wagi, — energicznie dorzucił lejtnant. — Wyliczyłeś, że możemy rozporządzać nadwagą 80 do 90 kilogramów, a więc połowa tego nadmiaru spirytusu powinna być pozostawioną... A jeżeli nie podniesiemy się?

— Myślałem też o tem całe godziny i postanowiłem zamienić twą wagę spirytusem i odbywać dalszą drogę bez ciebie.

Amerikanin aż podskoczył ze zdumienia.

— I nie myśl nawet o tem!—zawołał.

— Przeciwnie—zdecydowałem to tak poważnie, że proszę cię, w imię naszej przyjaźni i obowiązku, o zrobienie tej koniecznej ofiary.

— Lecz to niemożliwe!...

— Nigdy nie zdecydowałbym się zaproponować ci to przed wyjazdem z Medwey, lecz teraz o tyle jestem pewien swej maszyny, i tak dobrze poznałem ją, że, bez wątpienia, dam sobie radę sam jeden.

Archibald Forster nie zwrócił prawie że żadnej uwagi na upadłą w pobliżu nich kulę, tak był rażony zdumieniem.

— Powiedz,—spytał, kładąc rękę na ra-

mię swego przyjaciela,—jak ty myślisz połączyć na jednym aeroplanie obowiązki palacza i mechanika? Jakżeż będziesz mógł obserwować jednocześnie wszystko? Nigdy nie uda ci się dotrzeć do celu...

— Dolecę do celu mej podróży, przyjacielu!—powtórzył francuz.—Wiesz, że u mnie jedna myśl panuje nad wszystkimi innymi, i ona mnie podtrzymuje wszędzie.

Maurycy Rembeau zamilkł, i naraz jeden z kanaków schwytał oficera amerykańskiego za rękę i pociągnął na skraj przepaści.

Podszedłszy tam, wyciągnął rękę na prawo i Archibald ujrzał w tym kierunku dziesięciu ludzi, drapiących się po skałach z karabinami w rękę.

— Widzisz,—rzekł Maurycy Rembeau,—nie można tracić ani chwili... Opatrzność sama urządziła wszystko tak, pozwalając mi przespać się pięć—sześć godzin, podczas gdy ty nie odpoczywałeś ani chwili. Mogę teraz śmiało lecieć w przeciagu całej doby. Ty pomożesz mi ulecieć, przecinając sznur, tak jak to było zrobione w Medwey...

— Lecz... — chciał jeszcze przeczyć Archibald.

— Nie, dosyć... obiecałeś mi być posłusznym... Przypominam ci o tem w tej chwili krytycznej...

— Słucham,—rzekł oficer.—Lecz co mam zrobić po twoim odlocie?

— Udasz się na północ, do tego małego



Strasznem pchnięciem zrzucił go w przepaść.

portu, i ztamtąd dasz znać, jeżeli ci się to uda, do San-Francisko o wszystkim, co zaszło...

Nagle dał się słyszeć o kilka kroków od nich odgłos świstawki.

To gwizdał jeden z kanaków, który przybiegł do nich klusem i wskazując palcem na otwór w szczelinie, zawołał:

— Japończyk.. tam...

Jednocześnie pokazała się głowa marynarza japońskiego, z karabinkiem, przewieszonym przez ramię.

Maurycy Rembeau schwycił za rewolwer, lecz Archibald Forster zawołał:

— Pozostaw mi go!...

I nim japończyk zdołał zdjąć karabin z ramienia, wyrwał mu go i strasznem pchnięciem zrzucił w przepaść...

Ten upadł z rozłożonymi rękoma, wydał krzyk przerażenia i runął z wysokości pięćdziesięciu metrów na skałę i rozbił się na miazgę...

— Siadaj, Maurycy! — rzekł oficer,—nie można tracić ani chwili... Zaczynaj przymocowywać linę do skały znajdującej się po za nami, i jak w Medwey, przerąb ją jednym uderzeniem topora...

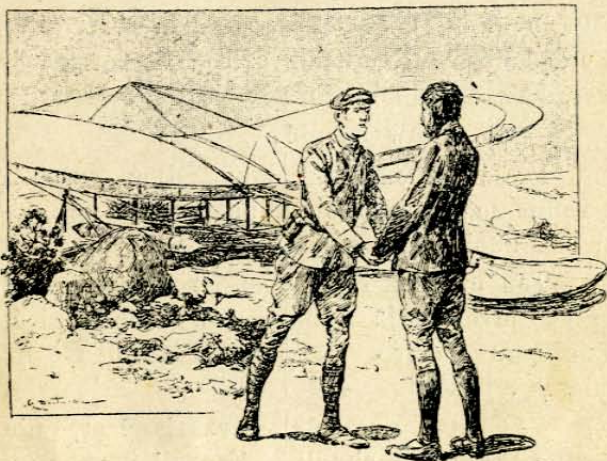
Umocowawszy linę, Maurycy Rembeau, usiadł przy sterze, lecz przypomniawszy sobie pożegnanie, odwrócił głowę. Obydwaj przyjaciele padli sobie w objęcia.

— Nie zapomnij!—rzekł francuz.

— Nie. Dziękuję ci raz jeszcze za ojczy-

znę moją! Ach! Zapomniałem! — dodał śpiesznie, — 61° na San-Francisko — 61° — pamiętaj!..

W minutę potem, na rozkaz dany silnym głosem lotnika, „ptak Katty“ opuścił się, przy łoskocie śrub i po wcześniej oczyszczono-



Obydwaj przyjaciele padli sobie w objęcia.

nym skłonie z lawy, i ślizgał się po olbrzymim otworze krateru.

Straszne wzburzenie ogarnęło lejtnanta Forstera.

Wszak o 200 metrów pod nim znajdowało się nie morze, to jest możność wypłynięcia po pewnym czasie, a ognista, kipiąca

lawą, wybiegająca z wnętrza ziemi przy temperaturze od 2—3000 stopni, lawa, w której aeroplan wraz z lotnikiem, spłonąłby i w przeciągu kilku minut zamieniłby się w gaz.

Spuszczanie z góry wstrzymane zostało: pod działaniem steru „ptak Katty“ — nachylił się lekko i wzbił się ku niebu. Kiedy znalazł się po drugiej stronie krateru, był już o pięćdziesiąt metrów nad okrytą krzakami platformą.

— Bravo! — nie mógł się powstrzymać od wykrzyku amerykańnin, stojąc na brzegu przepaści.

Kiedy powtórzył swój okrzyk, o dwa kroki od niego, na krawędzi z lawy, zkąd dopiero co został zrzucony pierwszy japończyk — wyciągnęły się dwie zaciśnięte ręce.

Był to drugi japończyk, który dążył tą samą drogą.

Amerykańnin trzymał w ręku siekiere, którą dopiero co przeciął linę, powstrzymując aeroplan.

Nie namyślając się długo odrąbał jedną z owych rąk i druga ręka wnet zniknęła..

Włożył potem w rękę jednego z kanałów garść monet złotych, i rzekł:

— To dla ciebie i kolegów twoich. Teraz idźcie, gdyż japończycy, wobec odlotu aeroplanu nie mają się tu po co drapać...

I wsiadłszy na muła, podążył na nim w górę.

Z wyżyny, na której się znalazł, aeroplan wydawał mu się małym statkiem żaglowym, który ślizgał się po powierzchni fal.

— Druga godzina,—myślał,—przy takiej szybkości, jutro w południe zobaczy on tą godzinę na cyferblacie zegarów wieżowych w San-Francisko. Jacy odważni i nieustraszeni ludzie są ci francuzi, jeżeli wezmą się do czegoś...

XIII.

Sam wśród nocy.

Zapadła noc. Maurycy Rembeau był sam jeden wśród bezgranicznej przestrzeni. Do samego lądu Ameryki nie było ani jednej wyspy, ani jednej skały, gdzie mógłby się opuścić wrazie wypadku.

Życie jego znajdowało się w ścisłej zależności od tej wątej maszyny, o tyle skomplikowanej, że wystarczy zepsucie jednej części, ażeby bieg motoru został wstrzymany i aeroplan runął w fale morskie.

Sklepienie niebios błyszczało i gładka jak zwierciadło, powierzchnia odbijała jego blask nocy. Z tyłu pomyślny wiatr passatowy popędzał skrzydła aeroplanu.

Zdolności jego, jako człowieka ptaka, były zbyt słabe na to, ażeby mógł na podobieństwo ślizgającego się po nad samemi falami i drwiącego sobie z burzy, albatrosa,

zaraz zrobić ruch, konieczny dla współdziałania niespodziewanemu wybuchowi wiatru.

— 61 stopień, — krzyknął mu przed odjazdem lejtnant Forster.

Od czasu do czasu spoglądał na kompas, pomieszczony przed nim przez Forstera, i uważał na kąt swej podróży.

Najważniejszym dla niego było nie uchylać się od linii, wiodącej do San-Francisko, gdyż każde zboczenie na północ lub południe od tego kierunku, przedłużyłoby tylko drogę jego.

Maszyna działała zupełnie prawidłowo, chociaż benzynę zastąpił spirytus.

Och, żeby się tylko udało mu dojechać!...

I serce jego biło przyśpieszonym tempem, pierś wznosiła się wysoko i motor puszczął całą siłą. Śruby nie były zupełnie widoczne wskutek szybkiego obrotu, i aeroplan leciał z niebywałą dotychczas szybkością. Z zapadnięciem nocy „ptak Katty“ osiągnie prawdopodobnie szybkość dwustu kilometrów na godzinę.

W tej chwili lotnik ujrzał pierwszy okręt, dostrzeżony przez niego od chwili odjazdu.

Był to olbrzymi parostatek z trzema długimi masztami, który — rzecz dziwna! — stał

widocznie na kotwicy, gdyż nieruchomą, zwierciadlaną powierzchnię morza nie przecinała ani jedna fala i brak jakiegobądź smugi dymu wskazywał, że parowiec nie porusza się.

Aeroplan przeleciał o kilkadziesiąt metrów z tyłu nieruchomego okrętu na wysokości masztów jego, i zdumienie pasażerów było, prawdopodobnie, bardzo wielkie, kiedy ten olbrzymi, hałaśliwy ptak, runął na nich...

Cały świat już wiedział o napadzie japończyków i brak okrętów wskazywał, że wiadomem już było o zagarnięciu wysp Sandwich przez japończyków. Jakim sposobem można było dowiedzieć się o tem, że jedna z wysp jeszcze nie poddała się i że, po Honolulu ta właśnie wyspa ma największe znaczenie dla floty amerykańskiej, jako skład węgla.

Lecz o tem dowie się rząd amerykański, jeżeli tylko poseł skrzydlaty, przecinający w tej chwili mrok nocny, przetrzyma się w przeciągu dwunastu godzin nad Oceanem Spokojnym.

Kiedy przeleciał nad parowcem, uwaga awiatora zwróconą została pewnemi osobliwościami.

Przedewszystkiem na statku tym rzucały się w oczy takie słupy do telegrafu bez

drutu, jakich inżynier jeszcze nigdy nie widział.

Przeleciał dość blisko dlatego, ażeby zauważyć, że na każdym z trzech masztów znajdowała się przekładzina, nachylona pod kątem 30—40 stopni, i znaczna ilość drutów przeciągnięta była z przodu i z tyłu parowca w rodzaju sieci, sprawiającej wrażenie olbrzymiej pajęczyny.

Na okręcie nie było żadnego sztandaru ani ognia, które by wskazywały na okręt bojowy. Do wszystkich tych oznak charakterystycznych przyłączała się jeszcze nieruchomości.

Czy nie była to straż przednia, wysłana przez japończyków celem uprzedzenia ich o zbliżaniu się floty amerykańskiej przy pomocy telegrafu bez drutu?

Kiedy się ściemniło zupełnie, Maurycy Rembeau, tak jak i przeszłej nocy, wzniósł „ptaka Katty“ o 100 metrów nad powierzchnię wody.

Będąc teraz pewien co do prawidłowości kierunku, puścił motor pełnym biegiem.

Ten lot wśród mroku nocnego, o pięć tysięcy mil od lądu, rzeczywiście był jednym z najbardziej niezwykłych przedsięwzięć, na jakie rzuciła się odwaga ludzka.

I zwycięższy wszelkie zmęczenia, mło-

dy człowiek zebrał wszystkie siły i starał się oderwać swe myśli od strachów, jakimi przejmowały go ciemności nocne.

Co chwila przy pomocy lampki elektrycznej sprawdzał poziom spirytusu i oliwy, i nie czekając na opadnięcie ich, napełniał rezerwoary, smarował, sprawdzał kierunek. O godz. 10 w nocy wyrzucił w morze pustą beczułkę.

I czas upływał mu wśród tajemniczej, niezapomnianej nocy, przy bladym świetle księżyca, przy ciągłym, jednostajnym ruchu motoru.

Okolo godz. 2 na północy ukazały się ognie, lecz lotnik nie mógł ściśle określić kierunku, w jakim dążyły zauważone okręty...

Ognie znikły wreszcie. Księżyc skrył się i trochę na prawo, powierzchnia morza, zlewająca się dotychczas z czarnym niebem, powoli odcinała się od niego perłowym odbłyskiem.

Wkrótce ten opalowy odblask mlecznej barwy przybierał czerwony kolor.

Światło.

W miarę tego, jak horyzont płonąć zaczynał, młody człowiek stawał się spokojniejszym: wracała mu znów dawna wiara w swe siły.

Wiele kilometrów zrobił? Wiele mu jeszcze pozostawało?

Maurycy Rembeau wyjął zegarek: była czwarta rano. Leciał czternaście godzin i jakim biegiem. Żadne wyliczenia, żaden punkt oparcia nie mógł dać jakiegobądź wyobrażenia o tej szybkości.

Czyżby znajdował się jeszcze o sześćset lub o tysiąc kilometrów od San-Francisko? Miał tylko jeden środek, pozwalający w przybliżeniu chociaż obliczyć tą przestrzeń: to ilość pozostałego spirytusu.

Gdy skończył obliczenia, olbrzymie krople potu ukazały się na jego czole.

Pozostawało jeszcze 8 baniek, to jest wszystkiego 80 litrów spirytusu.

Przy takiej ilości można przelecieć nie więcej nad czterysta—pięćset kilometrów.

Lecz nie może być, ażeby pozostało mniej niż ośmset kilometrów, gdyż aeroplan nie mógł zrobić w przeciagu czternastu godzin więcej nad 2600 kilometrów, a cała droga wynosiła 3400.

A więc „ptakowi Katty“ sądzonem było opuścić się o 300—400 kilometrów wcześniej, zanim dojrzy ziemię.

Można spodziewać się, że zabierze go jakiś okręt, gdyż te części Oceanu Spokojnego

często są przez nie nawiedzane. Lecz ile czasu przytem straci?

Wobec tego jednak, że pozostało mu dośyć siły motorowej dla tego, ażeby przetrzymać się w powietrzu jeszcze trzy godziny, to Maurycy Rembeau zdecydował się szukać okrętu z flagą amerykańską, któryby zabrał go z wody.

Pogrążony w myślach młody człowiek wpatrywał się w widnokrąg i zobaczywszy na nim smugę dymu, zaczął patrzeć. Rosło ono w oczach prawie, i zauważył, że był to statek naładowany węglem. I choć załoga okrętu robiła mu znaki, a nawet i spuściła na morze szalupę, machnął tylko ręką i pomknął dalej.

W ten sposób minął parę innych, aż wreszcie około godziny ósmej rano spostrzegł wielki parowiec z flagą amerykańską oraz z przyrządem do telegrafowania bez drutu na maszcie.

Przelatując nad nim, ujrzał wypisaną wielkimi literami nazwę statku: „Fulton.“

Byłoby szaleństwem spuszczać się na parowiec, choć tylny pokład jego był zupełnie otwarty. Aeroplan napewno zaczepiłby się o cośkolwiek, powodując uszkodzenie.

Opisał krąg w powietrzu, dotykając powierzchni wody. Ruch ten zrozumiano i spuszczone łódź z trzema marynarzami.

Podsunał się do niej blisko, i z parowca wysuwano już blok z łańcuchami, przeznaczony do wzięcia wielkiego ptaka, gdy naraz Maurycemu Rembeau wydało się, że zanurza się w wodzie.

Obejrzał się: rzeczywiście, aeroplan zanurzał się coraz bardziej, tak, że za kilka minut motor znajdzie się w morzu, a gdy zima woda dotknie się rozpalonych jego części, łatwo wyniknąć może katastrofa.

Wstąpił więc do łodzi i idąc za jego wskazówkami, marynarze podtrzymali bosakami „ptaka Katty“ dotąd, dopóki nie udało się przez górne okucie przesunąć łańcucha.

W kilka minut potem aeroplan, podniesiony windą na tym łańcuchu, znalazł się na wysokości pokładu.

Zobaczywszy aeroplan swój w bezpieczeństwie, Maurycy Rembeau wstąpił na pokład parowca.

Tam czekał już na niego z wyciągniętymi rękoma człowiek wysoki, suchy, bez brody, lat około pięćdziesięciu, w czapce z szerokim złotym galonem.

— Komendant Howe na „Fultonie.“

— Maurycy Rembeau, inżynier francuzki.

— Francuzki? Lecz zkąd pan przyjechał?

— Przybyłem z Hawaji,—odrzekł poprostu młody człowiek,—a nawet trochę z dalej—z Medwey.

— Z Medwey! — wykrzyknął amerykańnin, — lecz przecież ztąd do miejsca tego 3000 mil!

Na twarzach wszystkich odbiło się zdumienie.

— Tak, prawda! 3000 mil... i tą przestrzeń przebył mój aeroplan.

— W takim razie, — zawołał komendant „Fulton“, — Medwey—nasz olbrzymi skład węgla—nie poddał się!

— Rano, przed dwoma dniami, gdym go opuścił, nie poddał się jeszcze.

— Pan dojechał tu w dwa dni!

I komendant Howe przeciągnął ręką po czole, jakby pragnąc przekonać się, że nie stał się ofiarą mistyfikacji.

— Użyłbym na to jeszcze mniej czasu, jeżelibym nie był zmuszony do wznowienia zapasów spirytusu dla mojego motoru w Hawaji. Co zaś do Medwey, to może przetrzymać się jeszcze dziesięć do dwunastu dni, i ja postanowiłem odbyć tą podróż jedyną, wolną dla nas drogą, powietrzem, na to, ażeby zawiadomić o tem waszych rodaków.

— I pan dokonał tego... pan, nie będąc amerykańninem...

Ta charakterystyczna uwaga anglosasa, wyrażała najwyższy stopień podziwu.

Silnym i długim uściskiem dłoni młodego inżyniera, stary oficer wyraził mu swój gorący zachwyt, podzielany przez wszystkich obecnych.

Trudno sobie wyobrazić, ażeby człowiek przelecieć mógł podobną przestrzeń, bez zatrzymania się, sam, dzień i noc!

I Maurycy Rembeau musiał w krótkich słowach opowiedzieć cheiwie słuchającym go ludziom, historję zbudowania „ptaka Katty“ przy pomocy środków i rąk roboczych, znajdujących się w fortecy, i odjazd jego z Medwey, z towarzyszem, który również uratował się z „Mackenzie!“ Podał potem o przelocie swym nad zajętym przez japończyków Honolulu, o swem zatrzymaniu się na kilka godzin na odkosie Kiloca i o ostatnim locie do San-Francisko, przerwany brakiem spirytusu.

Obecni, porwani tym pełnym szlachetnej prostoty opowiadaniem, mogli wyrazić swój pełen zachwytu podziw tylko jednym okrzykiem:

— Niech żyje Francja! Niech żyje Francja!...

I na kilka chwil ludzie wszystkich rang połączyli się w ogólnym zachwycie.

Ze wszystkich stron do młodego człowieka wyciągały się ręce i ścisnęły dłonie jego, aż do bólu. Prości marynarze cisnęli się, ażeby choć dotknąć się do niego. Mechanicy, palacze, podnieśli się z głębi swych pieców, ażeby spojrzeć na niego i wkrótce wokoło wiszącego na bloku „ptaka Katty,“ utworzyło się koło, ścieśniające się i już dotykające się do niego.

Wtedy Maurycy Rembeau rzucił się do swego ptaka.

Znał on złe przyzwyczajenie przedstawicieli rasy anglo-saskiej. Potrzebował tylko który z rozentuzjasmowanych marynarzy z „Fultonu“ zdecydować się odciąć kawałek skrzydła „ptaka Katty“ na pamiątkę o tym niesłychanym czynie, i „ptak Katty“ w mgnieniu oka zostały rozszarpany.

Komendant Howe zrozumiał niepokój lotnika i rozkazał rozszerzyć koło.

Maurycy Rembeau poprosił starszego oficera na parowcu, ażeby rozkazał podnieść aeroplan tak wysoko, ażeby można było zobaczyć, w jakim położeniu znajdują się spławiki.

Kiedy prośbę tę spełniono i inżynier przeprowadził ręką po nagumowanej powierzchni, łatwo przekonał się, że pod każdym z nich, w części, przeznaczonej dla zet-

knięcia się z wodą, na wypadek upadku, było zzbione ostrym nożem długie przecięcie.

Z ust inżyniera wyrwał się okrzyk:

— Ach! rozbójnik!

Kerdok, rzeczywiście, przewidział wszystkie wypadki.

Chciał nietylko doprowadzić do bezczynności motor, lecz i pozbawić aeroplan zdolności pływania po nieuniknionym upadku.

A więc był on zupełnie pewien niezdolności aeroplanu trzymania się na powierzchni wody, i jeżeliby, na nieszczęście, przyszła mu myśl opuszczenia się na wodę, daleko od wszelkiej pomocy, spławiki szybko napelniły by się wodą i aeroplan poszedłby na dno w przeciągu kilku minut. Lotnik znalazłby się sam, wśród fal, bez żadnych środków ratunkowych, i padłby na pewno ofiarą rekinów.

— Jak daleko ztąd do San-Francisko?

— 450 mil.

— To głupstwo dla pańskiego telegrafu bez drutu, komendancie... Potrzeba natychmiast telegrafować...

Komendant zrobił ruch, oznaczający zupełną jego bezsilność w tym wypadku.

— Niemożliwe!...

— Dlaczego, — spytał młody francuz. — Wszak ma pan wszystko... Czyżby telegraf był zepsuty?

— Nie, działa... Lecz przez ostatnie dwa dni po odjeździe naszym z San-Francisko, zamiast odpowiedzi, dają nam znać, że tam nie rozumieją z naszych doniesień...

— To dziwne... A pan rozumie ich doniesienia?

— Nie, lecz umówiony znak „dwójka“, oznaczony wiadomą liczbą punktów, ciągle dochodzi do nas, lecz dzięki nieznaney nam przyczynie, nie więcej do nas dojść nie może...

Kiedy komendant Howe opowiedział młodemu inżynierowi wszystko, co mu wiadomem było o sytuacji w Stanach Zjednoczonych, zapytał tenże, na co on liczył, udając się sam jeden na spotkanie floty japońskiej.

— Dokonywam nie więcej, jak rekonesans, — odrzekł, — wskutek swego specjalnego przeznaczenia, okręt mój posiada bardzo ograniczoną szybkość. Liczyłem dotrzeć do Gilo, być może, jeszcze nie zajętego przez japończyków, i ztamtąd przesać wieści z innych wysp.

— To bardzo ryzykowne, komendancie, dla okrętu nieuzbrojonego.

— Wiem... Że zaś kabel Oceanu Spokojnego dochodzi do Gilo, to mogę w tem miejscu przywrócić komunikację z San-Francisko telegrafem bez drutu, w tak tajemniczy sposób

przerwaną przez japończyków. Jeżeli zaś kabel przecięty jest i w Gilo, to zarzuciwszy kotwicę, znajdę konieczne aparaty do tego, ażeby wyciągnąć kabel z wody w pewnej odległości od brzegu i zaraz skorzystać z niego.

— Lecz ja dostarczyłem panu konieczne wiadomości,—rzekł młody francuz.—Wszystko to działo się przed dwudziestu czterema godzinami, i zdaje mi się, że wiadomości te są takiego rodzaju, że wpłynąć powinny na zmianę pańskich planów.

Komendant „Fultona“ zacisnął swe wążkie wargi.

— Pozostaje mi tylko jedno, — rzekł,—zawrócić do San-Francisko i dostarczyć tam, razem z panem i aeroplanem radosną wieść o oporze Medwey'u.

— Wiele czasu potrzeba na to?

— Trzydzieści sześć godzin, pod warunkiem, że nie stracę ani chwili.

— Trzydzieści sześć godzin! — powtórzył młody człowiek i na czole jego ukazała się zmarszczka,—to zbyt długo.

— Wiem dobrze, że pan dostałby się tam w przeciągu trzech godzin,—odrzekł komendant,—i że przybył byś akurat w chwili, gdy nasza flota mijałaby przylądek. Lecz pan

powinien zgodzić się z losem i pozostać naszym gościem do San-Francisko.

Maurycego Rembeau ogarnął bezgraniczny niepokój.

Dobrze wiedział, że każda stracona godzina może pociągnąć za sobą zgubę fortecy... W czasie wojennym jedna godzina ma decydujące znaczenie.

A on, Maurycy, zmuszony będzie stracić trzydzieści sześć godzin i płynąć powoli po powierzchni Oceanu Spokojnego, kiedy mógłby wygrać trzydzieści godzin i więcej, przelatując tą przestrzeń aeroplanem.

Po entuzjastycznym przywitaniu, okazaniem mu przez oficerów „Fultera,“ wezwał na stronę komendanta Howe i opowiedział mu o swoim zamiarze odlotu.

„Ptak Katty“ był nieuszkodzony.

— Benzynę pan ma, komendancie?—spytał młody człowiek.

— Wiele pan tylko chce! wszystkie nasze maszyny pomocnicze są z generatorami..

Uspokojony co do tego młody człowiek w dalszym ciągu przedstawiał swój plan.

Waga aeroplanu zmniejszoną będzie przez odjęcie spławików...

Lecz tu słowa młodego człowieka przerwane zostały przez komendanta „Fultona.“

— Jakto?... Zdjąć spławiki? Pan nie

obmyślił tego, drogi inżynierze... Będę sobie wyrzucać całe życie, jeżeli dopuszczę do tego...

— Lecz... w takiej postaci, jak teraz...

— Wiadomo panu, że „Fulton“ dlatego, że leży na nim obowiązek zakładania i naprawy kabli podwodnych — zaopatrzony jest w narzędzia do wykonywania wszelkich robót, połączonych z guttaperką i kauczukiem, gdyż są to główne materiały, służące do okrycia i izolacji kabli. Nałożyć na pańskie spławiki kawałek kauczuku lub nagumowanego płótna—to robota jednej godziny i panu nie należy odjeżdżać bez tego w żadnym razie.

— Znakomicie, i składam tysięczne dzięki za to pierwsze pozwolenie. Pozostaje kwestja rozpędu...

— Jaka przestrzeń potrzebna panu do tego?

— Zadowolniłbym się w ostatecznym razie dziesięciu metrami?

— Taka przestrzeń znajdzie się u nas na pokładzie. Lecz jakim sposobem urządzi pan tam płaską powierzchnię w obec tego olbrzymiego bębna, sterczącego nad sterem? Zdjąć go nie można.

Na tyle „Fulton“, rzeczywiście znajdował się bęben, na który nawijano lub rozwijano kabel podwodny.

Na widok wyciągniętego kabla, w głowie inżyniera błysnęła myśl skorzystania z niego dla odlotu, na wzór owych wagonetek z kopalni, postawiwszy „ptaka Katty“ na koło z głębokiem wyłobieniem.

Komendant, kiwający głową w czasie wykładania tego planu,—przestał palić, kiedy inżynier doszedł do objaśnienia projektu bloku, a to było znakiem głębokiej uwagi.

Zaraz też zawezwał głównego mechanika na „Fultonie“, któremu francuz przedstawił cały plan.

Kiedy skończył objaśnienie, młody oficer rzekł:

— Wszystko to jest wykonalne! Mam bloki przeróżnych wymiarów. Odszukam takie koło, wgłębienie którego odpowiadałoby grubości kabla. Wszystko to zrobione zostanie za dwie godziny.

— Przypuszczam, — rzekł komendant, — że awiacji uda się wkrótce pozbyć tych skomplikowanych zabiegów przy wzlocie aeroplanem i dojdzie ona do wznoszenia się z miejsca, nie potrzebując żadnych robót przedwstępnych...

— Ma się rozumieć, że to się zdobędzie, kiedy aeroplan będzie jednocześnie helikopterem,—odrzekł z ożywieniem młody francuz,—we Francji widziałem kilka helikopterów,

podnoszących się z miejsca, systemu Bertena i Corny... Przyszłość należy tylko do aeroplanu w rodzaju tego, z pionową śrubą, który podnosiłby się nie dalej, jak metr od powierzchni ziemi. Gdyż uwolniony choćby na chwilę od działania ciężaru i zetknięcia z ziemią, natychmiast ustąpi ruchowi śrub i posunie się lekko, w kierunku prostym. Ten aparat nazywa się helikoplanem. Lecz dalej komendancie, śpieszę się wyruszyć w drogę i dlatego pozwoli pan udać mi się do mego biednego aeroplanu.

Cały personel „Fultona“ stanął do pracy, przy ustawianiu nowego bloku i naciąganiu kabla w rodzaju nieruchomej szyny na wysokości dwóch metrów nad pokładem.

Nie potrzeba było zagrzewać gorliwości ludzi. Ciekawość załogi posunięta była do najwyższego stopnia.

Widzieli, jak ten cudowny ptak przybył tu, krążył w około okrętu, i lekko opuścił się na wodę. Teraz zobaczą, jak odleci, podniesie się przy nowych warunkach, zniknie w powietrzu...

Wreszcie wszystko było gotowe. Na wszystkie roboty użyto tylko cztery i pół godziny.

Kiedy lotnik oznajmił, że jest gotów do odjazdu, komendant rozkazał przynieść na

tacy puhary, napełnione szampanem. Wziął z nich jeden i stanąwszy na beczkę, podtoczoną do łódki, podał go lotnikowi. Potem wziąwszy w rękę drugi puhar, podniósł go nad głową:

— Szanowny panie, — rzekł poważnym tonem, — ja, amerykańnik, oznajmiam, że nigdy jeszcze amerykańnik nie zrobił dla swej ojczyzny tego, co robi pan, francuz, dla niej... Dwieście milionów obywateli, zamieszkujących nasze stany, wdzięcznych i wzruszonych, wita cię i powtarza ten okrzyk, którym przywitaliśmy cię na „Fultonie.“

— Niech żyje Francja!..

I okrzyk ten wyrwał się z ust całej załogi, stłoczonej przy burcie i na rejach, jak połączony, stugłose echo.

Maurycy Rembeau tylko wtedy zauważył, że wszyscy w rękę mieli puhary. Cała załoga piła wino francuzkie na cześć francuza.

On pił [powoli, wołając znów ze swej strony:

— Niech żyją Stany Zjednoczone!

Naraz zapanowała przejmująca cisza. Wszyscy byli w oczekiwaniu uroczystej chwili.

Kąt kierunku został starannie obliczony na mapie i doręczony lotnikowi.

Wszystkie szalupy z „Fultona“ spuszczo-

ne zostały na wodę i stanęły szeregiem na 200 do 300 metrów na drodze do San-Francisko, na wypadek upadku, możebnego wskutek zmiany sposobu wzniesienia się aeroplanu.

Maurycy Rembeau postarał się ustawić ster głębokości równoległe do kierującego kabla, ażeby zmusić kierujący blok do pozostawania w połączeniu z tym kablem od samego jego końca; podniesie go tylko po oderwaniu się od tego ostatniego punktu oparcia.

Przy odlocie z Medwey wydał polecenie, znajdując się na wysokości więcej niż dziesięciu metrów nad poziomem morza, w Hawaji—na wysokości ściany krateru nad lawą Galemaumau.

Lecz młody inżynier w zupełności teraz ufał swemu aparatowi.

On „czuł go.“

Był związany z nim, jak jeździec ze swoim objeżdżonym, przyswojonym i zręcznym rumakiem.

I kiedy, puściwszy śruby pełnym biegiem i krzyknąwszy: „puszczać!“ poczuł, jak aeroplan posunął się naprzód, lotnik był zupełnie spokojny: „ptak Katty“ podniesie się i popłynie wśród swego żywiołu z łatwością pływaka, który dopiero co rzucił się w wodę.

I rzeczywiście aeroplan wzniósł się lek-

ko, wspaniale, unosząc się ku błękitowi niebios, nie dotknąwszy nawet wody.

I wkrótce po za człowiekiem-ptakiem umilkły okrzyki „hura,“ towarzyszące jego uroczystemu odlotowi.

Była godz. 11 min. 20 rano.

XIV.

Uroczysty spadek aeroplanu.

Tymczasem bezustanku rosnący niepokój ogarniał nie tylko wielkie miasto Kalifornji—San-Francisko, lecz i całą Amerykę.

Kwestja japońska, przed kilku laty tak żywo zajmująca opinię publiczną, wywołująca bardzo poważne starcia między stanem Kalifornji, a prezydentem Rooseweltem i która, zdaje się, załagodzona została dzięki energicznemu wpływowi rządu stanu—teraz odrodziła się i doprowadziła bezpośrednio do fatalnego końca—wojny, która wybuchła w takim czasie, kiedy Ameryka jej nie spodziewała się.

Japończycy, swoim zwyczajem, rozpoczęli wojnę niespodziewanie, dokonywując napadu na wyspy Sandwich i zagarniając je, oraz wszystkie napotkane na wodach Oceanu Spokojnego okręty.

Panika padła na ludność San-Francisko. Lada chwila spodziewano się ataku pancerników japońskich, a w porcie nie było ani jednego okrętu wojennego stanów, ażeby bronić miasto.

Zaczęła się ożywiona wymiana depeesz i wreszcie dowiedziano się, że admirał Hopkins, na czele floty atlantyckiej, podąży spieszenie na pomoc. To uspokoiło trochę ludność i z niecierpliwością oczekiwano jej przybycia.

Wreszcie 15 maja 100 strażaków działowych zawiadomiło o jej przybyciu.

Zachwył patriotyczny ogarnął wszystkich na widok wkraczających do portu olbrzymich pancerników i krzyżowców.

Niech żółtolicy przychodzą teraz: kalifornijczycy czuli się bezpiecznymi. Teraz troski ich przybrały inny kierunek: zapewniwszy bezpieczeństwo swych brzegów, myśleli tylko o tem, ażeby zaatakować swych wiarołomnych przeciwników, a opinja publiczna wskazywała flocie na jej główne i pilne zadanie—odbicie wysp Sandwich.

Była godzina 5 po południu. Ostatni torpedowiec dopiero co przepłynął i większość ciekawych pociągnęła w kierunku miasta, rozrzuconego leniwie na brzegach zatoki i od-

dzielonego od morza piaszczystymi ławicami. Naraz kilku ciekawych dojrzało i wskazało w oddali, szybko zwiększając się czarną plamką.

Przybliżała się ona widocznie od grupy wysepek Farolon, skał, zamieszkałych wyłącznie przez tysiące ptaków morskich.

Czy był to jeden z tych ptaków, który na jeden dzień opuścił swą skałę?

Nie, gdyż szerokość rozpostartych skrzydeł jego rosła z każdą chwilą. Wielu zdecydowało, że to orzeł lub kondor gór Skalistych, uniesiony ku morzu przez prąd powietrzny i spiesznie dążący do wysokich szczytów Sierra-Madre.

Wśród tłumu powstał gwar i rozszedł się wzdłuż kanału: to nie ptak!

— Cóż to takiego?

Dało się słyszeć słowo „aeroplan.“ To słowo znane jest narodowi, do znakomitych synów, którego zalicza się Wright i który zachwycał się jego tryumfami w Europie.

Lecz jakież to aeroplan mógł zjawić się z Dalekiego Wschodu?

Być może to admirał Hopkins urządził niespodziankę dla San-Francisko? Czyżbyż wziął z sobą jednego z nieustraszonych lotni-

ków w rodzaju Bleriot'a, Lathama, Sommera lub Farmana, który przyjechał z Francji do New-Yorku na parowcu i odleciał z jednej z wysp Farolen dla tego, ażeby zakończyć przybycie floty sensacyjnym „gwoździem.“

Tysiące lornetek skierowane zostało na skrzydlate zjawisko. Dały się słyszeć głosy, że to aeroplan i że na przodzie łódki jego widać mały kawał materji, na której można rozróżnić gwiazdy i czerwone pasma.

A więc to aeroplan amerykański?

Wśród tłumu, jakby zastygłego wobec tego zdumiewającego i niespodziewanego widowiska, dał się słyszeć głuchy gwar.

Ptak zbliżał się szybko.

Ślizgał się teraz na wysokości 200 metrów, i do uszu tłumu dobiegło warczenie motoru, i ukazał się człowiek, nim kierujący.

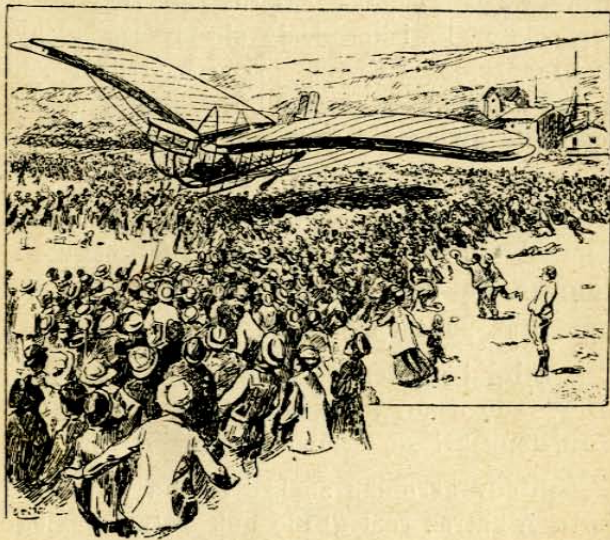
Kiedy aeroplan znalazł się na wysokości fortu Alkatraz rozległ się huk salwy na jego cześć.

Ciekawość doszła do zenitu, kiedy wszyscy ujrzeni, jak zręcznie nachylił się, pozostawiając po za sobą kanał, i skierował się w stronę ławicy piaszczystej.

Tysiące ludzi rzuciło się w tym kierunku, tak że wynikł tam ścisk.

Aeroplan zwolnił bieg i opuszczał się, szukając widocznie odpowiedniego miejsca.

Zaraz znajdzie się wśród tłumu i znana się stanie tajemnica tego prawie nadnatural-



nego zjawiska. Opuszczenie się jego przywitane zostało gromkimi oklaskami.

Lecz w chwili, kiedy „ptak Katty“ dotknął się prawie ziemi, zaczął znów widocznie podnosić się do góry.

Widocznie lotnik zdecydował się nie opuszczać się wśród tego tłumu ludzi, bojąc się zacząć nieostrożnych brzegami swych śrub.

Lecz przy ruchu, zrobionym na to, ażeby skrócić na prawo, gdzie widniały inne wzgórze piaszczyste, usiane drzewami i pozbawione widzów, prawe skrzydło pochyliło się i spotkało rękę, które schwyciły za nie.

Niespodziewanie zatrzymany aeroplan zakręcił się, zachwiał i runął, jak ptak postrzelony.

Na szczęście lotnik zachował spokój.

Przeraźliwe okrzyki przytłuczonych łodzią i z trudem wychodzących z pod niej ludzi, pisk powalonych olbrzymiemi skrzydłami i podnoszących się z okrzykami „hura,“ mieszały się z okrzykami tych, co pędzili w stronę ławicy,

Zaledwie tylko aeroplan zatrzymał się, wokół niego rozpoczęła się prawdziwa bójka.

W jednej chwili prawie cały aeroplan został pogruchotany, jeden tylko Maurycy Rembeau stał wśród rozszalałego tłumu, spokojny, uśmiechnięty, z ręką na sterze.

Jakiś olbrzym, śmielszy od innych, usiadł na puste miejsce obok lotnika i zasypał go szybkimi, gorączkowemi pytaniami.

— Kto jest ten nieznany lotnik? Zkąd on przyleciał?

Jednocześnie chłopiec jakiś, wdarłszy się na drąg poprzeczny, łączący dwa skrzydła, rozwinął przed oczyma obecnych sztandar Stanów Zjednoczonych.

I naraz wszystkie te krzyki stłumił potężny głos kolosa, oznajmiający tłumowi:

— On przybył z Hawaj!... To francuz!...

Wieść ta wstrząsała i oszołomiła wszystkich, i tak już wzburzonych przybyciem floty, a gdy olbrzym znów oznajmił:

— Medwey nie poddał się! Forteca Medwey nie została zdobytą przez japończyków! Francuz przybył z Medwey!...

Wszystkich ogarnął jakiś trudny do wyobrażenia szal. Trzeba było widzieć ten szalony tłum yankesów dlatego, ażeby utworzyć sobie pojęcie o tym entuzjazmie!

Nikt nawet nie myślał wątpić w prawdziwość tej niezwyklej wieści. Wszyscy widzieli, jak ogromny ptak ukazał się na widnokręgu z szybkością meteoru, a zatem mógł on przebiec tysiące kilometrów, oddzielających od kontynentu samotnie stojącą wśród Oceanu Spokojnego fortecę, którą uważano za straconą.

W ten sposób ten aeroplan, który doko-

nał cudu, staje się teraz jedną z relikwji, którą później pokazywać będą jak karawellę Krzysztofa Kolumba. I oto jeden z fanatyków odciął przy tylnym sterze kawał płótna khaki, sąsiedzi poszli za jego przykładem i gdy kłusem nadbiegł oddział policji z „ptaka Katty“ pozostał tylko sam długi szkielet, na którym wisiały strzępy płótna.

Tylko siłą udało się naczelnikowi policji odeprzeć tłum i uwolnić lotnika wraz z resztkami aeroplanu.

Na zadane mu przez dowódcę oddziału zapytanie, czy rzeczywiście przybył z Medwey, inżynier odpowiedział potwierdzająco prostem skinieniem głowy i dodał spokojnie:

— Chciałbym widzieć admirała jak najprędzej.

— Medwey jeszcze nie jest wzięty przez japończyków?

— Medwey trzyma się i będzie trzymać aż do czasu przybycia pomocy, lecz ta pomoc konieczną jest jaknajprędzej...

Dowódca ochotników, który tak przybył w porę, był synem jednego z najbogatszych przemysłowców San-Francisko. Był to człowiek młody, lat 25, wysokiego wzrostu, z sympatycznym wyrazem twarzy. Schwytał inży-

niera za rękę i rzekł drżącym ze wzburzenia głosem:

— Nazywam się Wiljam Lipton. Uważałbym sobie za największy zaszczyt uściskania pana w imieniu moich współobywateli. Czy pan pozwala?

Francuz z uśmiechem wyraził na to zgodę i obydwaj młodzi ludzie uściskali się, podczas gdy tłum wydawał radosne okrzyki, wśród których przeważał jeden:

— Niech żyje Francja!

Lotnik i przewodnik jego z trudem, przy pomocy policjantów przedostali się przez tłum i wsiedli do samochodu policyjnego, który całym pędem powiózł ich do portu, gdzie widniał cały las kominów floty amerykańskiej...

Maurycy Rembeau z roztargnieniem odpowiadał swemu przewodnikowi na zapytania jego, co do bajecznej podróży aeroplanem.

— Na jakim okręcie jest sztandar admirałski? — spytał, błędząc wzrokiem po tym lesie.

— Na „Connecticut“—okręcie, który pan widzi na prawem skrzydle drugiego szeregu...

Maurycy Rembeau przypomniał sobie, że Archibald Forster służył jako lejtnant na tym pancerniku, i myśl ta przypomniła mu przy-

jaciela: co stało się z nim po odjeździe aeroplanu z wyspy Hawaji? Czy poważnie liczył on na to, że „ptak Katty“ dosięgnie lądu?

Prawdopodobnie nie znalazł na wyspie stacji telegrafu bez drutu, gdyż inaczej przybycie piosła z Medwey, o którym zawiadomiłby Forster San-Francisko, nie wywołałoby podobnego zdumienia.

Żeby to Archibald Forster mógł podejrzewać, że przyjaciel jego za kilka minut wstąpi na pokład „Connecticut’a.“

Młody francuz powrócił do rzeczywistości. Ledwie zdążył wysiąść z samochodu, jak wokoło siebie posłyszał nieustanne trzaskanie.

Był to hałas, spowodowany przez mnogie kodaki, skierowane na niego,—tą szybkostrzałą artylerję współczesnej prasy.

Dopiero teraz spostrzegł, że towarzyszyło mu z górą sto samochodów. I jeżeli by dowódzca ochotników nie miał, jak większość milionerów amerykańskich, własnego jachtu, to lotnik nie dostałby się nigdy na okręt admirała, nie oddawszy daniny nienasyconej ciekawości reporterom kalifornijskim.

Cały grad wymysłów posypał się na sir Wiljama Liptona, kiedy zabrał im zdobycz i ulokowawszy lotnika w oczekującej na nich łodzi białej, z złotymi prążkami, w dziesięć

minut podjechali do „Connecticut,” gdzie po wymienieniu nazwiska sir Wiliama Liptoua, pozwolono im wejść na pancernik.

Wszyscy komendanci okrętów zawezwani zostali przez admirała na jego okręt, celem otrzymania sekretnych rozporządzeń, i nie w świecie nie mogło dać prawa oficerowi dyżurnemu na zaniepokojenie tej rady wojennej.

Oficer marynarki, który odmówił tego Liptonowi w krótkich słowach, był jeszcze młodym człowiekiem w mundurze miedziana.

Na ostatek oznajmił, że, być może, admirał przyjmie sir Wiljama Liptona wieczorem, po złożeniu wizyty gubernatorowi stanu Kalifornja.

— Rzecz idzie nie o mnie,—rzekł młody amerykańczyk.—Ja towarzyszę temu panu. To francuz i przybył z Medwey. Jego należy przyjąć natychmiast!

Zapanowało milczenie. Młody oficer nie poruszył się, lecz rzekł powoli:

— Medwey! nasza forteca na wyspach Sandwich?

— Tak, Medwey, którą uważają za zdobytą przez japończyków, a która jeszcze nie poddała się...

Oficer ograniczył się tem, że pokręcił

głową, a na wąskich wargach jego ukazał się uśmiech.

— Ach, tak! wszakże pan nic nie wie?—zawołał niecierpliwie Wiljam Lipton. — Pan nie widział aeroplanu?

— Aeroplanu? Znaczy się, że ten pan przybył z Medwey aeroplanem?

I tym razem uśmiech młodego miedziana stał się szerszym i ukazał wszystkie zęby jego, prawda, że bardzo ładne.

Bez wątpienia to mistyfikacja, a przytem bardzo brzydka. Uśmiech jego znikł zaraz.

— Nie mogę wam nic więcej powiedzieć,—oznajmił ostro.—Admirał przyjmie panów, jeżeli żądacie tego, lecz stanowczo odmawiam, niepokoić go podobnymi wiadomościami, dopóki trwać będzie rada komendantów okrętów.

Ostry ton, jakim wypowiedziane były te słowa młodego miedziana, był takim, że Maurycy Rembeau uważał za potrzebne wtrącić się.

— Łaskawy panie, rozumiem twe niedowierzanie, lecz mimo to, proszę, jako francuz, z obowiązku grzeczności, nie odmówić mi i natychmiast zawiadomić admirała, że przybyłem z Medwey, z kądem wyjechałem przed dwoma dniami o g. 5 rano, a zatem—mogę dać ostatnie wiadomości, wymagające natychmiastowej decyzji. Pozwolę sobie nawet powiedzieć, że

decyzja ta wpłynie na wszystkie dalsze działania admirała.

Zdumiony powagą tego oświadczenia, miczman spytał:

— Pan mówi, że był jeszcze w Medwey dwa dni temu rano?

— Mam zaszczyt powiedzieć panu, że jestem przy pełnych zmysłach, twierdząc to. Dodam—że wyjechałem z Medwey wraz z sir Archibaldem Forster, lejtnantem waszej marynarki, i zmuszony byłem pozostawić go na wyspie Hawaji, celem zmniejszenia wagi mego aeroplanu. Znajduje się prawdopodobnie w Gilo w oczekiwaniu, że jeden z waszych okrętów zabierze go w przejeździe... i jednym z główniejszych żądań moich będzie prośba o nie zapomnienie o nim, gdyż jest to odważny oficer i znakomity kolega.

Twarz młodego miczmana naraz rozpromieniła się.

— Pan zna Archibalda?—spytał żywo.

— Ulegliśmy razem rozbiciu—kiedy ja pończycy zatopili „Mackenzie.“

— Był on tam starszym oficerem... Czyż „Mackenzie“ zatopione?

— Bezwątpienia... i nie jeden „Mackenzie,“ a jeszcze wiele... wiele innych...

I francuz opowiedział krótko miczmanowi wszystkie swe przygody.

Młody oficer nie wątpił już więcej. Od-rzekł z ożywieniem:

— Nie mów już nic więcej! Samo imię Archibalda wystarcza, ażeby mnie przekonać. To mój przyjaciel. Darujcie suche przyjęcie, lecz wszystko to w pierwszej chwili wydało mi się tak nieprawdopodobne... Rada, która się tam zebrała, jest nadzwyczaj ważną... Admirał jest w wielkiej niepewności. Waha się, czy jechać natychmiast do wysp Hawaji, jak tego domaga się gubernator, prasa i opinja publiczna, lub też działając ostrożnie i metodycznie, zorganizować przedtem oddział węglarek, który może być przygotowany nie wcześniej, jak za osiem, dziesięć dni...

— Należy udać się tam natychmiast dziś wieczorem! — przerwał mu szybko francuz,—gdyż inaczej Medwey zdobytem zostanie i droga do Japonji zamkniętą dla waszych okrętów na długo!

— Postaram się, pomimo danych mi formalnych rozkazów—przedostać się na posiedzenie naszych wysokich wodzów, — rzekł miczman.—Czekaj pan tu na mnie!

W kilka minut potem Maurycy Rembeau został wprowadzony do wielkiej sali „Connecticut,“ gdzie stało w około stołu z rozłożoną na nim mapą siedmiu kontr-admirałów i trzech admirałów.

Pomimo, że było to wybrane towarzystwo, które wiele widziało i które trudno było zadziwić czembadź—na twarzach wszystkich ukazał się wyraz nieklamane go zdumienia, kiedy francuz stanął wśród nich.

Czyżbyż to, o czem ich zawiadomiono, było prawdą?

Admirał Hopkins podszedł do inżyniera i rzekł bez wstępu:

— Mnie zawiadomiono, jakoby... Pan przybył z naszej fortecy Medwey, nie poddała się ona jeszcze i składy węgla są nietknięte. To trochę, co nam zdołano zakomunikować, tak jest nieprawdopodobne, że proszę pana opowiedzieć nam wszystko szczegółowo, ażeby przekonać tych panów i mnie. Od pańskiego opowiadania zależy los floty.

— Wiem, admirale, oto dlaczego nalegałem o przyjęcie mnie natychmiast po mojem przybyciu.

— Mów pan! Opowiadaj!

I młody człowiek wśród uroczystej ciszy opowiedział całą swą odyseję, zaczynając od fatalnej zguby „Mackenzie.”

Kiedy doszedł do rany majora Gezey'a, niebezpieczeństwa której nie ukrywał, wzrok wszystkich spoczął na pobladłym strasznie komendancie jednego z okrętów, który zerwał się z miejsca.

Admirał Hopkins przerwał młodemu francuzowi:

— Mój biedny Gezey, — rzekł on wzburzonym głosem,—jak mi przykro, że ten cios zadany został ci tak niespodziewanie... Pan, widocznie, nie wiedział, że brat męznego majora, rażonego kulą w Medwey, dowodzi jednym z lepszych okrętów naszej floty—„Kolorado,” pan niewiedział, że ten brat słucha pana... Fatalny wypadek w czasie wojny, panowie! Major Gezey stał się pierwszą ofiarą wybuchłej, bezlitośnej wojny... Cześć i sława mu... Pomścimy go!...

I, podszedłszy do kapitana okrętu, admirał uściśnął mu rękę.

Wszyscy zebrani komendanci zrobili też samo.

— Jak pan myśli—czy mogę jeszcze stać go przy życiu... usłyszeć ostatnią jego wolę?—spytał komendant Gezey młodego człowieka zmienionym głosem.

Jedyną odpowiedzią na to pytanie było milczący, nieokreślony i beznadziejny ruch pilota.

Po twarzy komendanta spłynęła łza.

Po chwili dodał:

— A to biedne dziecię, które zabrał z sobą... co będzie z niem do naszego przyjazdu? Daruj, admirale, że zajmuję pana w tak waż-

nej chwili. Przepraszam wszystkich obecnych i proszę, opowiadaj pan dalej...

— Pan Rembeau będzie do pańskich usług po skończeniu narady, drogi kominandancie, i opowie panu wszystko, co mu wiadomo lub co on może przewidzieć o położeniu pańskiej siostrzenicy. Wierzaj współczuciu wszystkich obecnych w tym strasznym smutku swoim i nasz głęboki szacunek będzie służyć ci pociechą.

Młody francuz był bardzo wzburzony tym wypadkiem i wyrzucał już sobie tą nieostrożność, gdyż wiedział, że brat majora dowodził jednym z opancerzonych krzyżowców. Prowadził dalej swe opowiadanie, tylko mimochodem dotykając szczegółów owej podróży powietrznej i nalegając na konieczność nie tracenia czasu, jeżeli chcą uratować cenny skład węgla, złożonego mniej niż o 3000 mil od brzegów Japonji.

Kiedy skończył swe opowiadanie, admirał Hopkins wyraził mu gorącą wdzięczność:

— Położyłeś pan kres naszej nieświadomości, skuwającej naszą decyzję,—rzekł on.— Przeciwnicy nasi z tak piekielną zrećnością poplątali cały nasz system komunikacyjny, że nie mamy żadnych wiadomości, nawet o okrętach, krążących przy brzegu. Telegraf bez drutu nie działa, lub działa o tyle niepra-

widlowo, że, widocznie, wielka stacja, ulokowanie której jeszcze nie zostało wykryte tu lub w okolicy,—kieruje, obficie i nieustannie, w przestrzeń silne fale elektryczne, niszczące lub pochłaniające wszelkie inne.

— Admirale,—z ożywieniem zawołał inżynier, — zdaje mi się, że znam powód tych zaburzeń: stacja, obecność której pan podejrzewa, nie znajduje się na lądzie, a urządzona jest na morzu i ja ją widziałem. To okręt, który ulokował się w odległości tysiąca lub tysiąca dwustu mil, nie dojeżdżając do wysp Sandwich i ja wczoraj przeleciałem zupełnie blisko niego, przed zapadnięciem nocy. Żebym mógł odznaczyć drogę mą na mapie, to określiłbym tą miejscowość z ścisłością do dziesięciu mil.

Maurycy Rembeau wyliczył wszystkie podstawy, które pobudziły go do takiej konkluzji.

— Koniecznym jest zabranie tego okrętu i zatopienia go,—rzekł admirał. Okazuje nam pan tem odkryciem nową usługę. Nie wiem, jak dziękować panu za wszystko. Bądź pan pewien, że Ameryka potrafi ocenić pańskie zasługi...

— Admirale, — przerwał młody człowiek,—pan może mi i sam dać jedyną nagrodę, której pragnę...

— Jaka?—spytał dowódzca floty pełnym zdumienia głosem.

— Pozwól mi pan wsiąść na ten krzyżowiec, który przeznaczony zostanie przez pana do podążania na czele innych i który przed wszystkimi zobaczy Medwey... Najgorętszem mojem i jedynem pragnieniem w tej chwili—to ujrzeć pierwszym powiewający na szczycie fortecy wasz sztandar narodowy...

Na twarzy admirała Hopkinsa znów ukazało się zdumienie.

— Z wielką przyjemnością zadość uczynię pańskiej prośbie, która w oczach moich jest nową zasługą pana. Ojczyzna pańska zawsze,—twierdę to wobec wszystkich—jest jedynem w świecie źródłem wspaniałomyślności i bezinteresowności. I ja składam jej hołd w osobie pana.

Ta pochwała wywołała u Maurycego Rembeau lekkie zmieszanie. Ażeby ukryć je, oznajmił dowódcy floty o bezwarunkowej potrzebie zabrania razem z idącymi na pomoc okrętami—parostatku—cysterny, gdyż w fortecy Medwey znajduje się zapas wody nie dłużej jak na sześć lub osiem dni.

— Naczelnik sztabu mojego wyda wszystkie konieczne rozkazy, — rzekł admirał.—Co zaś do pana, panie Rembeau, bądź pan gotów za godzinę wsiąść na parowiec, gdyż nie wol-

no nam tracić ani chwili. Jesteśmy przekonani o tem po pańskiem opowiadaniu. Jeżeli Medwey przetrzyma się do naszego przyjazdu, to odbierzemy Honolulu za dwa tygodnie, a wszystko pozostałe wyniknie samo przez się...

— W takim razie, admirale,—rzekł komendant Gezey,—podchodząc do niego,—racz darować mi najwyższy zaszczyt pójścia z moim krzyżowcem na czele floty. „Kolorado“ może robić do 24 węzłów i pan widział to w czynie. Być może, sądzonem mi będzie przyjąć ostatnie westchnienie mojego brata, i pierwszemu pocieszyć w jej smutku biedne dziecko, tak potrzebujące pociechy.

— Zgadzam się, drogi komendancie, — rzekł admirał, — podążaj w drogę, jak tylko można najprędzej. „Montana“ uda się z panem; dwa parowce, naładowane, z rozporządzenia gubernatora, węglem, gotowe są podążyć za panem wraz ze wspomnianym parowcem—cysterną. Admirał Derey wyznaczy jeszcze trzy najszybsze torpedowce dla przeprowadzenia rekonesansów. Mianuję pana dowódcą całego oddziału.

— Dziękuję panu, admirale,—rzekł wzruszony komendant, — okręt mój ma rozpalony ogień pod kotłami, żaden z ludzi nie wysia-

dał na ląd, wszystkie zapasy dopełnione mam w Magdalenebay. Za godzinę ruszam w drogę.

— W trzy godziny po panu wyruszy drugi oddział krzyżowców, w takim samym składzie. Dwa oddziały pancerników udadzą się na północ, zaraz wskażę je naczelnikowi sztabu i ten szybko zaopatrzy je w węgiel. Krzyżowce udadzą się prosto do Medwey, a pancerniki do Honolulu.

Kiedy Maurycy Rembeau, skłoniwszy się admirałowi Hopkinsowi, skierował się ku wyjściu w towarzystwie komendanta „Kolorado“, admirał rzekł:

— Jeszcze raz dziękuję panu, szczególnie za to, żeś nas wywiódł z najgorszej na morzu sytuacji: nieświadomości. Do widzenia, spotkamy się wkrótce tam...

Potem dodał, zwracając się do komendanta okrętów:

— Dotychczas nie wierzyłem w lotnictwo... Widziałem, jak zastosowywano je tylko na niewielką odległość. Teraz przejęło mnie ono wiarą niezachwianą w siebie, mnie i świat cały.

Mniej niż w godzinę potem, pożegnawszy się z sir Wiliamem Liptonem, który okazał mu wiele pomocy przy koniecznych zakupach, Maurycy Rembeau wszedł na pokład krzyżowca „Kolorado“. Załoga okrętu pomimo znu-

żenia długą podróżą, okazała niebywałą radość na wieść, że jej to przeznaczono iść na czele floty.

O godz. 8 wieczór krzyżowiec opuścił port.

Całe miasto było już zawiadomiane o tem, że część floty idzie do wysp Sandwich.

Szybkość tak niecierpliwie oczekiwanej decyzji wywołała wśród wszystkich warstw ludności niebywały zachwyty.

Było również wiadomem, że lotnik francuski znajduje się na „Kolorado“ i że prosił, jako o szczególną łaskę, o pozwolenie powrotu do Medwey. To wywołało nowy wybuch zachwyty odnośnie do kraju, który daje podobnych ludzi.

Brzegi kanału przepelnione były późnym wieczorem ciekawymi widzami, jak podczas przybycia floty i przednie okręty Oceanu Spokojnego ruszyły w drogę na spotkanie tych „miłych, malutkich japończyków“, wśród pełnych zachwyty okrzyków tysięcznego tłumu.

XV.

Na krzyżowcu „Kolorado.“

Komendant Gezey sam wydał polecenia co do wypłynięcia okrętu z portu, skierował go w stronę Medwey, poczem udał się do jadalni, gdzie czekał na niego młody inżynier.

Maurycy Rembeau raz jeszcze musiał opowiedzieć szczegółowo wszystkie wypadki, w czasie których komendant twierdzy Medwey otrzymał śmiertelną ranę.

— Biedne dziewczę, — rzekł komendant, gdy wspomniał o Katty, — jest teraz sierotą i nikogo niema, oprócz mnie. Jakież życie ją czeka?... A co tam zająć może, jeżeli japończycy wyprzedzą nas. Oni nie zatrzymują się przed niczem.

— Wiele czasu potrzeba, ażeby „Kolorado“ przybyło tam? — spytał Maurycy.

— Akurat sześć dni, jeżeli robić średnio

22 węzły. Mogę doprowadzić szybkość do 24 węzłów i zrobię to, jeżeli będzie potrzeba.

— Jak daleko ztąd do Medwey?

— W prostej linii 3200 mil. Lecz zmuszeni jesteśmy zboczyć, ażeby zniszczyć powietrzną stację elektryczną. Mój przyjacielu, określ pan możebnie ściśle miejsce, w którym ów statek krąży.

Maurycy Rembeau bez długiego namysłu natychmiast określił to miejsce.

Że zaś straszne zmęczenie zamykało mu oczy, udał się do kajuty swojej i padł tam na łóżko.

Obudził się dopiero w południe następnego dnia. Kiedy wyszedł na pokład, zdumiał się zmianą, zaszła w pogodzie. Czarne chmury zawały niebo, a morze dotychczas nieruchome, zaczynało się burzyć.

„Kolorado“ nie stracił ani chwili napróżno. Doścignął szybkości 23 węzłów bez nadmiernej utraty węgla, i już znacznie wygrał na czasie.

Noc przeszła spokojnie. Wreszcie o świcie „Montana“ dała znać, że widzi jakiś okręt. Skierowano się w jego stronę, i oczom ich przedstawił się okręt z flagą angielską, lecz na masztach nie było żadnych przyrządów do telegrafowania bez drutu.

Maurycy Rembeau zdumiony przyglądał

mu się, nie mogąc poznać w nim tego okrętu, który widział w czasie swej podróży powietrznej.

Komendant Gezey udał się łodzią parową, w towarzystwie francuza, adjutanta i sześciu uzbrojonych marynarzy, na pokład statku, na froncie którego widniała nazwa „Kosmopolita.“

Dowódzca tego okrętu przyjął komendanta „Kolorado“ dość zgóry, i zaraz oświadczył o powiewającym na nim sztandarze angielskim.

Lecz ten ostro zażądał papierów, a po przejrzeniu ich, zapytał o cel podróży.

— Mam polecenie księcia Monaco, — odrzekł oficer, — dokonywamy tu badania oceanograficzne... Mamy już prześliczne okazy, nader rzadkie, różnych zwierząt morskich...

— A nie zajmuje się pan telegrafowaniem bez drutu?—ostro spytał komendant...

— Jakżeż mógłbym tem zajmować się,— odrzekł zmieszany kapitan, — czyż mam do tego odpowiednie przyrządy?... Wszak widzi pan maszty moje...

Lecz komendant Gezey nie słuchał go, lecz zwróciwszy się do jednego z marynarzy, rzekł:

— Rób, co masz rozkazane.

Ten w jednej chwili znalazł się na sieci

lin, otaczających maszt, i wspinać się po nim począł do góry. Oglądał czas pewien szczyt masztu, wreszcie przekreślił i wstawił go w otwór. W ten sposób utworzyła się reja, z której wystąpiły druty do telegrafowania.

Dowód był oczywisty.

Kapitan przerażony chciał uciekać, lecz silne ręce marynarzy amerykańskich ujęły go...

Sprawę potem załatwiono krótko, kapitan i załoga poszła, jako jeńcy, do więzienia, pod pokład, a telegrafista japończyk, widząc wszelki opór daremny, zrozpaczony, popełnił samobójstwo.

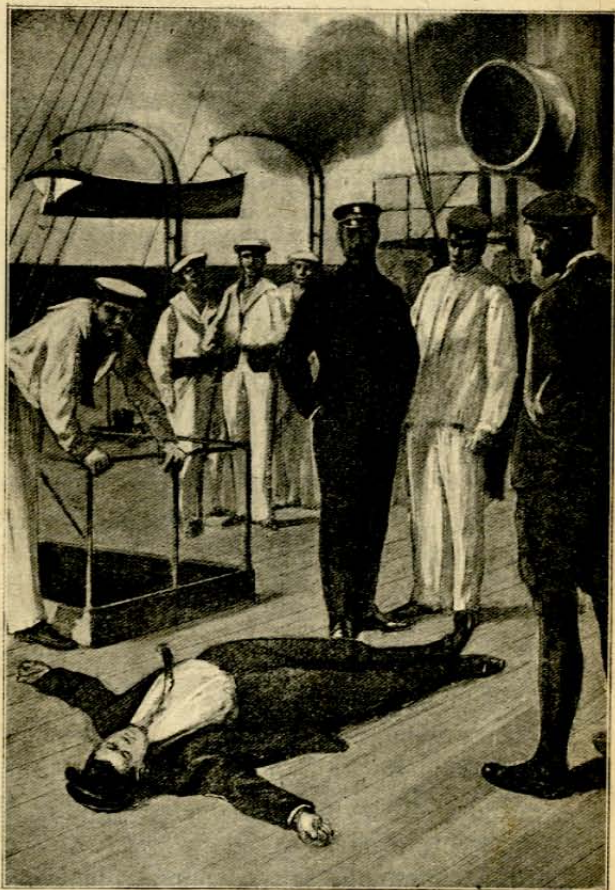
Okręt otrzymał załogę amerykańską i już pod gwiazdzistym sztandarem podążył dalej naprzód.

Cała ta ceremonia trwała dwadzieścia minut, i wnet potem „Kolorado“ skierował się w stronę Medwey.

Straszna burza srożyła się następnej nocy na Oceanie Spokojnym.

„Kolorado“ wyprzedził o pięć lub sześć godzin pozostałe okręty. Zdawało się, że niecierpliwość komendanta, zdwojona niecierpliwością inżyniera, udzieliła się mechanikom.

Tak upłynęło pięć dni. Forteca znajdowała się od nich o 160 mil na zachód.



....Telegrafista-japończyk popełnił samobójstwo....

O godzinie jedenastej wieczór Maurycy Rembeau wszedł na mostek kapitański, i stojąc tam, utkwiał wzrok w stronę Medwey'u. Komendant Gezey stanął obok niego.

Zaczęli rozmowę o Katty i jej ojcu, gdy naraz Maurycy przerwał swe słowa i rzekł zdławionym głosem, wskazując ręką:

— Patrz, komendancie... tam błysnęło światło!...

Komendant przetaił oczy.

— Nic nie widzę...

Po godzinie okrzyk inżyniera znów zwrócił uwagę oficerów.

— Znów widziałem blask!...

— Rzeczywiście, i ja, zdaje się, widziałem coś świecącego, — potwierdził oficer dyżurny.—To jeszcze bardzo... bardzo daleko— i jakby bardzo wysoko... Jak błyskawica!...

— Poczekajcie,—rzekł komendant,—zdaje się, domyślam się... to odbicie promieni świetlnych na chmurach... być może sygnał... Taki telegraf optyczny widoczny jest zdaleka. Zawezwąć telegrafistę...

Upłynęło pół godziny i telegrafista, wpatrujący się w chmury przez wielką lornetę morską, oznajmił:

— Zauważyłem coś przypominającego literę H, według systemu Morse'a.

I zaraz dodał:

— Teraz E.

A potem za minutę:

— Oto i P. To bezwątowania są sygnały.

Upłynęło kilka mgnięń.

— Więcej nic nie widać... Tylko trzy litery H. E. P.

— H. E. P. — powtórzył Maurycy Rembeau,—co oznacza to niedokończone słowo?

— W każdym razie, — rzekł komendant Gezey, — sygnały te daje ktoś z naszych rodaków—to nie są japońskie litery!

— Przesyłają je nam z Medwey!—zawołał gorącą Maurycy Rembeau.—To ztamtąd!.. A więc, forteca Medwey nie poddała się jeszcze!

— Poczekajcie, panowie! — zawołał telegrafista, — znów zaczyna się to samo słowo... H. Zbliżamy się... widzę wyraźniej L... Nie, Nie, teraz E... A teraz jestem pewien, że L... oto i P.

— HELP—pomóście! — objaśnił Maurycy Rembeau,—komendancie, błagam cię—prędzej! To prosi Medwey—tam już doszli do rozpaczy...

Stary oficer nachylił się do tuby, przeprowadzonej do oddziału maszyn:

— Prędzej, Giwen! 25 węzłów, jeżeli można! Tylko na dwie godziny!..

O godzinie wpół do drugiej po północy, trochę na lewo od drogi, jaką dążyła flota, ukazała się biała smuga, której nie można było wziąć za pierwsze promienie świtu. Tym razem było to światło reflektora i bez wątpienia reflektora z okrętu nieprzyjacielskiego.

Naraz w tej chwili, kiedy słup światła wzmógł się, jasno oświetlając dwa okręty—z morza wyrwał się snop ognia i oświetcił na chwilę cały widnokrąg blaskiem pożaru, i wnet do „Kolorado“ dobiegł głuchy huk, przejmujący, jak oddech przedśmiertny.

Krzyk przerażenia towarzyszył mu.

Krzyczał Maurycy Rembeau. Rozpacz, której nie mógł ukryć, rozdzierała mu duszę!

— Fortecę dopiero co wysadzono w powietrze! — rzekł głosem przerywanym przez łkanie.—Przybędziemy zbyt późno!

— Błagam pana—prędzej! spiesz się!...—zwrócił się do komendanta,—być może przybędziem jeszcze w porę... Może ocalimy ich jeszcze!... Uratujmy ich, błagam...

Komendant wzruszony, odrzekł:

— Pozwól mi pan działać!..

Wnet wydał polecenia szykowania się do boju, poczem wysłał do pozostałych okrętów następującą depeszę:

„Forteca Medwey dopiero co wysadzona w powietrze „Kolorado“ szykuje się do boju—

jeden przeciwko dwóm okrętom, siła których nie jest mi znana, lecz które zamierzają wyładować na gruzach fortecy. Dążcie całą siłą pary, ażeby zabrać nas lub pomścić. Gezey.“

Po wydaniu tego rozporządzenia, wrócił na mostek na to, ażeby widzieć wynik strzelania.

Zbliżali się do fortecy. Maurycy Rembeau w mroku nocy dojrzał, że mury fortecy są nieuszkodzone napozór.

Naraz reflektory „Kolorado“ oświetliły okręty nieprzyjacielskie, prześlizgujące się po powierzchni morza.

Wszczęła się bitwa. Huk dział wstrząsać zaczął powietrze, wreszcie puszczone torpedę. Rażony niem krzyżowiec japoński począł pogrążyć się powoli w morzu, aż wreszcie znikł w niem.

— Z jednym skończone! — rzekł komendant Gezey dźwięcznym głosem, — weźmiemy się teraz do drugiego!...

I z tym walka nie trwała długo... Rażony śmiertelnie krzyżowiec, przechylił się na bok i z trudem pozęglował na zachód.

Maurycy Rembeau z niecierpliwością oczekiwał chwili skończenia tej walki. Z trwogą też wskoczył do łodzi, by w towarzystwie ośmiu marynarzy podążyć ku wysadzonej w powietrze fortecy.

Wybuch nieznaczne porobił szkody. Większe znacznie wyrządziły pociski japońskie.

Maurycy przebiegał śpiesznie wszystkie kazamaty, lecz nigdzie nie było widać żadnej żywej istoty. Wydostał się wreszcie na szczyt i tam ujrzał powalony na ziemię sztandar gwiaździsty, wyszyty ręką Katty.

Przez chwilę miał myśl zabrać ten sztandar, lecz wreszcie wznosił go i umocował w zagłębieniu skały...

Gromkie okrzyki z „Kolorado“ przywitały to ukazanie się sztandaru narodowego. W dali na morzu widniała „Montana“ i reszta statków floty.

Naraz z drugiej strony wyspy dały się słyszeć gromkie okrzyki „hura!“

Maurycy zbiegł ze szczytu i na platformie ujrzał ludzi w mundurach khaki, witających się z marynarzami...

To byli pozostali przy życiu żołnierze garnizonu. Było ich 22 ze 140.

Maurycy gorączkowo zaczął dopytywać się o miss Katty.

Żaden z nich nic o niej nie wiedział.

Opowiedzieli mu, co następuje:

— Komendant umarł przed trzema dniami. Zwłoki jego złożono w wydziale maszyn. Pociski japońskie zasypywały fortecę, zrządzając wielkie szkody w ludziach. Z kaza-

maty przenieśliśmy się do grotty. Wreszcie telegrafista począł puszczać sygnały na chmury... A gdy już dłużej bronić się nie można było, kapitan Brodway podpalił skład prochu, przyczem sam zginął...

W czasie opowiadania, jeden z załogi poznał francuza, i wnet domyślono się, że to on sprowadził pomoc.

Radość i entuzjazm były bezgraniczne...

Lecz gdzie była Katty—Maurycy nie mógł się w żaden sposób dowiedzieć...

Może wpadła w ręce japończyków.

Przerażenie ścisnęło go za gardło.

Komendant Gezey, nie mniej przejęty smutkiem od niego, z dumą jednak spoglądał na tę fortecę, zachowaną dla ojczyzny męczeńską śmiercią brata i tyłu ofiar.

Zakończenie.

Maurycy Rembeau nie stracił jednak nadziei odnalezienia Katty.

Jakby olśnionemu nagłym widzeniem przyszła na myśl skała, na której znalazł schronienie z Archibaldem Forster po rozbięciu „Mackenzie.”

Może tam szukała ona schronienia?..

Skorzystał, że udawał się tam torpedowiec, celem przywrócenia sygnału, i pojechał tam. Z niecierpliwością wyskoczył na brzeg i tam ujrzał przytuloną do skały białą postać..

Była to Katty.

Radość ich była bezgraniczna.

Opowiedziała mu, że kapitan Brodway, przed wysadzeniem fortecy w powietrze, wsadził ją do łodzi motorowej, wraz z dwoma żołnierzami z załogi i kazał odwieść na tę właśnie skałę,

Po przybyciu na „Kolorado“ wzruszony komendant Gezey przywitał bratanicę.

Zajęto się odszukaniem zwłok majora by przywieść je na stały ład.

Złożono je do trumny, spowinięte w gwiazdzisty sztandar, wyszyty rękoma Katty, a wszystkie okręty, wszyscy żołnierze i marynarze oddawali hołd zwłokom jego...

Na tą żałobną uroczystość nadciągnął z resztą floty admirał Hopkins.

Oddawszy cześć zwłokom bohatera, zakomunikował im najnowsze polecenia rządowe, otrzymane za pośrednictwem telegrafu bez drutu.

I tak:

Katty Gezey rząd przeznaczył roczną rentę 2000 funtów szterlingów.

Maurycy Rembeau za swój czyn bohaterski otrzymuje podziękowanie narodu oraz dar, w wysokości 100,000 funtów. Na miejscu, w którym około San-Francisko opadł aeroplan, wzniesiony ma być pomnik.

Komendant Gezey mianowany kontradmirałem obejmuje dowództwo nad przednią strażą floty.

Porucznik Archibald Forster, zostaje mianowany kapitanem krzyżowca.

Radość z powodu tych wieści zmaconą

była myślą, że tylu, tylu bohaterów legło nie doczekawszy się tego.

Stryj Katty pobłogosławił związek jej, z młodym inżynierem i gdy zwłoki majora Gezey ulokowano na parowcu „Oceania“, który przewieźć je miał do Ameryki, młoda para, stojąc na pokładzie jego, pełnym smutku wzrokiem patrzyła na oddalającą się flotę amerykańską, dążącą ku brzegom Japonji, by nieść tam pomstę za zdradziecki napad.

A Medwey?

Gorączkowo zabrano się do pracy nad odbudowaniem fortecy, by w dalszym ciągu służyła ojczyźnie...

KONIEC.